JANUSZ GŁOWACKI

MOC TRUCHLEJE

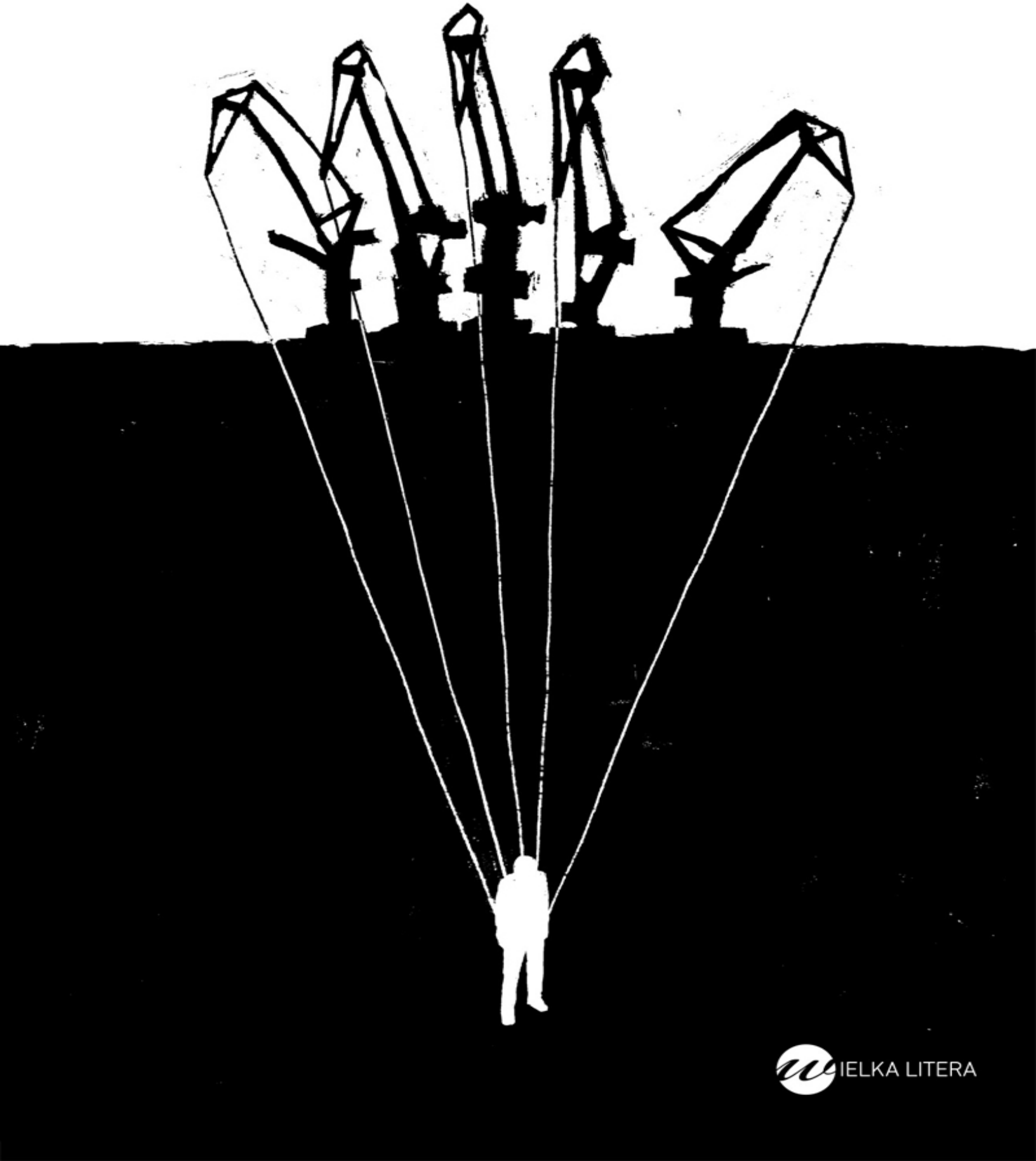

WIELKA LITERA

JANUSZ
GŁOWACKI

MOC TRUCHLEJE

WIELKA LITERA

Zuzi

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3450110

Nie mogę narzekać. Zbudowany jestem w wysokim stopniu topornie, jako narzędzie pracy jestem wydajny i mam szerokie zastosowanie. Jako prawdomówca dodaję od razu, że po wypadku, jakim mnie niedobry los pokarał w pierwszych dniach pracy w stoczni sławnej imienia W. Lenina w charakterze rdzacza, moja prawa strona jest bardziej wydajna niż druga. Co przy porównaniu z pracownikami, których przy tym samym wypadku zwęgliło bez reszty, był to czysty śmiech. Owszem, daje znać o sobie rwaniem czy sztywnieniem albo nawet opuchnięciem przetrąconej lewej nogi, tak że muszę dawać jej odsapnąć, ale dzieje się to tylko po jakichś 20–26 godzinach nieprzerwanych prac ukończeniowych. Kiedy to za pośrednictwem czynu rzucamy całemu światu bezlitosne wyzwanie.

Teraz, kiedy już jestem urządzony z rodziną w wozie o byłym zastosowaniu cyrkowym, muszę się zgodzić, że przechodziłem koleje losu. W poprzedniej specjalności rolniczo-hodowlanej jako osoba pozbawiona partyjności padałem ofiarą nieludzkich stosunków i wyzysku ze strony tłumiciela i dławiciela księgowego, przynależnego z prezesem do kliki zmownej, który do tego drastycznie obchodził się z moją żoną, tak że aż musiała zemrzeć, żeby się od niej odczepił. Wtedy przyszedł na mnie taki stan, że już namydliłem na siebie stryczek. Tymczasem jednak powiesił się nie kto inny, ale księgowy, którego prezes obciążył swoim pożarem na intencję ukrycia nadużyć. A ja przetrwałem, tyle że bez dachu.

Ale już szczęście krążyło dookoła, przybierając z początku postać zapitego kuzyna zmarłej żony, obdarzonego rozległymi stosunkami, a następnie drugiego mężczyzny, który udostępnił wiadomość o poszukiwanych przez stocznię robotnikach i odsprzedał za oszczędności

życia wymieniony wóz, zbity z desek odpowiednio spasowanych, ze sprytnie zamontowaną kozą, w dobrym stanie. Pomalowany był na naruszony przez brak pogody niezmiernie wesoły wizerunek czegoś à la w podobie świni w kapeluszu oraz tygrysa z wyszczerzonym kłem. Sam wóz, dobrze położony przy szynach, stał w otoczeniu innych. Kiedy go ujrzałem, od pierwszego spojrzenia sprawiał dodatnie wrażenie. Dookoła wesoło baraszkowały dzieci, ubrane i w butach – obrzucając szumiący po szynach elektryczny kamieniami i śniegiem. Po sąsiedzku starucha o zdrowej, ogorzałej twarzy, wbijając mocne pomimo czcigodnego wieku nogi w zlodowaciałą ziemię, załatwiała na stojąco swoją potrzebę, a łomocący wiatr nie dawał jej rady. Kawałek za nią zataczał się z powagą pijany na umór, a dym z piecyków na rurę bił w niebo równym słupem.

Odbiłem drzwi i z radością kroczyłem po wyziębionym gniazdku, planując rozmieszczenie tu mojej gromadki w ilości, po zgonie nagłym siedmiolatka, trojga dzieci, z czego wszystkie w wieku przedszkolnym, przysięgając sobie od razu ułożenie ich na kierunek pełnego, bezwzględnego wyrzeczeń patriotyzmu podpartego wykształceniem, jakie ja sam w ilości czterech klas nabyłem dzięki wszechstronnej pomocy państwa. Powybierałem wygodne miejsca dla obojga rodziców, a także skłóconego z nimi odwiecznie dziadka od strony żony. W tym czasie ze szpar wypełzało mi na spotkanie wygłodzone robactwo i wesoło trzaskało pod butami. Pomyślałem, że jeżeli ono się przechowało o chłodzie i głodzie samą siłą biologii, to i z nami źle nie będzie.

Przemijał upływ czasu, podczas którego po wymienionym wypadku ze stanowiska rdzacza zostałem zaawansowany na hakowego, aż wreszcie wyszedł mnie naprzeciw Wysoki Towarzysz i całą mocą jego decyzji po parodniowym wszechstronnym kursie dostąpiłem spawania kadłubowego. Tak więc wisiałem sobie na rusztowaniach w pozycji skurczonej, wybierając spaw raczej bliżej doku, co ma dobrą stronę na wypadek przyśnięcia i spadu, a złą, że od pracujących powyżej sypie się na głowę żużel niewystygnięty. Ponieważ jednak miałem hełm, a także fufajkę, którą uściśliłem według własnego pomysłu przy szyi, żużel gorący na ogół odbijał

się ode mnie bezsilnie i z sykiem pogrążał w wodę, jedynie w nic nieznaczących odpryskach przedostając się do mego ciała. Równocześnie zarabiać zacząłem w takich ilościach, że rodzina przeszła na trzyposiłkowy system z chlebem, wędzonym śledziem i nierzadko marmoladą, zaś koza codziennie dymiła, dostarczając gorącej kapuchy.

Jakby tego było mało, Wysoki Towarzysz pod koniec roku wezwał mnie przez sekretariat do wykładanego gabinetu, ogrzanego, aż senność z miejsca brała. Wiatr zimny łomotał się po oknach, ale dopasowane były tak, że odlatywał jak zmyty. Przed nami na biurku leżały chyba nawet ze cztery teczki, telefonów tyle samo, biblioteka podwójnie przeszklona, szafa opancerzona, że mysz się nie prześliźnie i nie wiadomo na co cztery telewizory. Wysoki Towarzysz w pierwszym rzędzie wypytał, jak mi się wiedzie względem stosunku do pracy i stosunku do kolektywu, po czym nawiązał ogólnie do przyszłości w słowach:

– Nawiązując ogólnie do przyszłości, ta komórka, w której aktualnie jesteście, jest stworzona jakby specjalnie dla waszego dobra, krótko mówiąc, podpadacie pod podwyższenie warunków, widzę was w bloku, dzieci widzę w szkole. A jeżeli w wieku przedszkolnym, widzę w przedszkolu, a żonę widzę w kuchni. Trudno, jeżeli nie żyje, to w jakiej innej formie pomoc otrzymacie. – Ale potem twarz mu się zrobiła pochmurna, oczy cisnęły błyskawice i zapytał, czy chciałbym sobie żyć bez wrogów?

– Czemu nie? – potwierdziłem.

Zgodził się, że on też, ale że na to za wcześnie. Bo niestety, ale nie każdemu jednakowo leży na sercu wspólne dobro i wierność sprawie. Nie każdemu jednakowo się spieszy do moich bloków i mojego wspaniałego życia. Są tacy także u mnie w brygadzie, co to gotowi robić wbrew, jątrzyć, mącić, knować albo nawet spiskować. W porozumieniu ścisłym z zachodnioeuropejskimi kierownikami naw państwowych. I że gdybym coś takiego wyczuł, to mam przychodzić zaraz, jeżeli się zgodzę. A jeżeli się nie zgodzę, to zbiorę burzę.

– Ja jestem otwarty dla was 24 godziny na dobę. Więc mówcie, co i jak. – Uśmiechnął się niby przyjaźnie, ale przeraźliwie. I położył mi tę sprawę oficjalnie od zaraz na gorącym sercu i proletariackim sumieniu.

Nikt do mnie w życiu ani w szkole z takim sercem się nie odnosił. No to, kiedy wbił we mnie oczy z przyciskiem i nadzieją, nadmieniłem, że poprzedniego dnia stanęła w brygadzie sprawa odmowy pracy przy piaskowaniu bez masek ochronnych, a z największą mocą naprzeciw takiej sytuacji opowiedzieli się dwaj, co najmują jeden pokój. Pierwszy jeszcze toporniejszy ode mnie, łapy jak łopaty, nogi jak drągi, charakter że nie daj Boże, przezwiskiem Słoń, spokrewniony przez brata z branżą kelnerską w miejscowości Sopot. I drugi mały, cichszy, układa piosenki i jak się wydało, przygrywa do nich na gitarze. Oni dwaj jako para wystąpili przeciw. Ale najgoręcej przekrzykiwał się Misiak, który jest w ogóle człowiek bez strachu i z hartowanej stali.

– To, to my wszystko wiemy – mruknął Wysoki Towarzysz – ale Bóg wam zapłać za dobre chęci.

Nadmieniłem jeszcze, że taka w okularach uspokajała w słowach: „Spokojnie, synkowie, spokojnie, jeszcze nie czas. Trzeba chwilę wyczekać, inaczej nas jak pluskwy wygniotą".

– Ta sama? – Wysoki Towarzysz otworzył pięknie oprawiony w czerwoną tekturę album z podpisem „Sylwetki ludzi morza" i dziobnął palcem w fotografię.

– Ta sama – przyjrzałem się.

– A ten? – przekartkował, aż otworzył na brygadziście, co to miał lat 40, żonę pracownicę TV o drastycznym prowadzeniu, dziecko – synka, wzrok osowiały, zamiłowanie do alkoholu, na imię Jurek i nieodpowiedzialną przeszłość, za którą usunięto go ze studiów. Odpowiedziałem w zgodzie z sumieniem, że ten to nic. Z kolei przytrzymał palce na czarniawym niedużym. Lecz ten też niestety, ale nie powiedziałem nic a nic. Więc ja opowiadałem dalej, że Misiak udał się nawet w imieniu z protestem do kierownictwa. I w odpowiedzi przyleciał zmianowy, z krzykiem opowiadając o konieczności pracy bez masek ze względu na dumne imię,

niewyobrażalne miliardy, morza, oceany i dynamiczny rozwój. Był uprzejmy i dopiero pod koniec zaczął straszyć odwetowcami zachodnioniemieckimi, jastrzębiami z USA oraz wejściem na premie, na co reszta ani drgnęła poza mną, który w zupełnej ciszy, przerywanej przekleństwami ogółu, zgłosiłem gotowość, i tu na szczęście przyłączył się do mnie jeszcze jeden najspokojniejszy charakterem, ten Czarniawy z fotografii.

Tu Wysoki Towarzysz pokiwał głową, zagwizdał, zakołysał się i zacmokał.

– Sprytniejszy, niż myślałem! – mruknął. – Drapieżnik z miną świętoszka. Oczy czarne, ale sumienie jeszcze czarniejsze.

Uzupełniłem, że piaskowanie bez maski jest pracą nieprzyjemną nie do opisania, jak wiadomo, piasek z węża wali w blachę i odbiciem wraca w człowieka, odbierając dech, zalepiając także gardło, nos i siejąc po twarzy. Jak po ukończeniu doszedłem do lustra w szatni, to aż mnie śmiech zdjął, bo twarzy nie widać, piach wbity na centymetr w skórę, tylko oko się świeci.

Ledwie to przedstawiłem i uśmieliśmy się obaj, a tu nowy gość się objawił. Z wierzchu podobny do proboszcza z Rawy. Okrąglaczek, ale kto wie, czy nie przewyższał godnością nawet samego Wysokiego Towarzysza, bo tamten przywitał go z ukłonem i na stojąco. Okrąglaczek zagadnął Wysokiego Towarzysza, czy orientuje się, kto objawi się jutro na wodowaniu własną najważniejszą osobą. Upewnił się, czy entuzjazm zabezpieczony, aż tu nagle przeniósł wzrok na mnie, obszedł z tyłu, z przodu, poklepał „Dobrze, dobrze" i polecił:

– Z rana ustawicie się na lewym wydzielonym skrzydle, a jakby się Najważniejsza Osoba zapytała, skąd wy?, odpowiecie: „Z Żywieckiego". A ile macie lat?, odpowiecie: „Trzydzieści". – Nie zdążyłem sprostować, kiedy odwrócił już wzrok, bo Wysoki Towarzysz z ożywieniem informował, że prywatny hodowca Majewski 500 kaczek pekinek i sto indyków bezkonfliktowo na bankiet dostarczył, natomiast zamiast przekazać 500 róż i 2000 w płatkach, drze włosy i fika, że według ostatniego rozbioru

badylarzy między resorty on podpada pod budownictwo, które tak go łupi, że więcej nie może. – Dajcie mu po cichu pozwolenie na budowę nowej szklarni, nadział szkła, przyobiecajcie ochronę przed budownictwem i przyłączenie pod nas w nowym rozbiorze – zadecydował Okrąglaczek, klepnął mnie i już go nie było.

Wracałem po ciemku w stronę doku, myśląc o przyszłości pełnej niewątpliwej nadziei, aż tu przerwał mi jakiś ruch. W jednej uliczce dwaj mężczyźni obok oddziału K-I, jakby nigdy nic, po cichu naklejają plakat. Nie wiem, co i jak, ale tknęło mnie, że tu idzie o nieczysty interes anty. Bo musiał to być jeden z takich, co to się już z nimi spotkałem, wzywający do liberalno-burżuazyjnych haseł: sprawiedliwości, równości, mięsa, chleba, podnoszenia płac tak beznadziejnie, że aż się w gardle ściskało. Rozmyślałem z odległości, jak postąpić, aż tu hurgot, rumor, patrzę, a wcale nie taka pusta ta ulica. Dorodni mężczyźni zbiegli się z kilku stron w mundurach, bez straty czasu wykręcili ręce, prowadzą jednego za drugim! Sam plakat już zdrapany, a ład i porządek przywrócony. Wlazłem w cień i odetchnąłem, że nie ma wyjścia, bo spokój jest strzeżony, że lepiej nie można i w odpowiedzialnych rękach. A ja po jego stronie.

Przed wodowaniem od rana kończyliśmy sprawy, aż tu wedle umowy wołają mnie do Wysokiego Towarzysza. Złażę na dół, idę. Jak zawsze pierwsze 50 metrów raczej suwam nogą, jak idę, i nie daję rady się wyprostować. Potem idę elegancko, a reszta skurczona wisi sobie dalej u góry i wykańcza. Tego, który się w nocy wyrzygał od kołysania, a potem zleciał, dawno wywieźli.

Akurat sygnał, że przerwa, czyli rozwożą zupę regeneracyjną. Ale jaka przerwa, kiedy dokoła ruch, że przyjemnie popatrzeć. Pociągają bieluśką farbą chodniki, śmieci ciężarówkami wywożą, wieszają flagi, mocują transparenty, całe w naszych hasłach ofiarnych do ostatniej kropli krwi. A pod nami przy pochylni doku życie jak w Madrycie: smary się gotują, liny, płozy, łańcuchy hamujące naciągają, a pomimo mrozu pot kipi mężczyznom na twarzach, para dmucha wesoło spod waciaków i koszule mokre.

Pozwolono mi odczekać w sekretariacie, gdzie ruch świąteczny, odprasowane garnitury, krawaty dobrane, twarze inteligentne, a nawet koniak i kawa się dymi, kieliszki brzęczą.

Przycupnąłem w kącie, aż tu weszła kobieta z ukłonem i mówi: – Przyszłam. – Sekretarka: – Kto taki panią przysłał? – A ona, że majster kazał: – Mówi – leć do dyrektora, bo był telefon, niech przyjdzie, powiedzieli, kondolencje złożymy.

Kobieta sprawiała wrażenie, okazała, oko zmęczone, ale z błyskiem, postawna, szeroka w barach, jak się należy, nogi dobrze rozstawione, wygięte harmonijnie do dołu jak żelazne obręcze. Za zgodą sekretarki przycupnęła koło mnie. I tak siedzieliśmy obok siebie, przy czym ona poruszała moją męską stronę, ale nie wiem, jak się odezwać. Tymczasem weszło dwóch dobranych wzrostem, postawą i garniturami w kolorze nieba. Kołysali się w biodrach jak zamieszkałe po sąsiedzku prostytutki, rzucając w tym samym czasie spojrzenia szybkie jak błyskawice. Jeden wypatrzył butelkę na oknie: – Co to? Płyn do mycia szyb?... Zabezpieczyć! – Przenicowali mnie spojrzeniem na wylot i już mieli wejść do dyrektora, kiedy on osobiście z asystą w gali stanął w drzwiach, przy nim Okrąglaczek, dużo z tyłu Wysoki Towarzysz. Moja kobietka z miejsca wyszła na środek i kłania się raz za razem. Dyrektor jakby w ziemię wrósł, i pyta, w jakiej sprawie. A kobietka, że majster ją wezwał, kazał lecieć do dyrekcji, bo dzwonili, że złożą kondolencje, i zaraz kazał wracać, bo robota czeka – no to przyszła.

– Jakie kondolencje? – zakręcił się dyrektor.

– No to chodzi o tego mojego męża, co go ciężarówka przy pracy i on na nic.

Dyrektor spojrzał na sekretarkę, ona kiwnęła głową. Okrąglaczek się przysunął do przodu, coś mu na ucho szepnął, i wtedy nie wierzę oczom, ale dyrektor uroczyście podał rękę ze słowami: – To wam składam kondolencje. – A Okrąglaczek podkreślił, że chociaż ofiara przed zgnieceniem była bez zasług, niesforna ideowo i orientowała się na zachód, została pochowana jak każdy inny.

Kobieta ukłoniła się, że już leci, bo majster kazał wracać, i już jej nie ma.

Zresztą wszyscy zeszliśmy na dół. Przed budynkiem na boku Wysoki Towarzysz wydał mi ostatnie polecenie i wszystko się zaczęło kołować, bo przez otwartą bramę hurmem zwaliły się czarne samochody z gośćmi. Zatrzaskały drzwiczki, cisza się zrobiła śmiertelna, buchnęły oklaski, a następnie okrzyki wyrażające radość, zapał, a nawet entuzjazm. Wszystko to przewaliło się przed moimi oczami w kierunku doków, a ja stałem, uszykowany w rząd, na lewym skrzydle przeplatany kobietami, wszyscy przeznaczeni na późniejszy punkt wizyty. Gdzieś daleko uwijała się moja brygada, grzmiała orkiestra, wiatr przynosił słowa o morzach i oceanach, morze się wzburzyło pod ciężarem statku. Staliśmy wyprężeni, jakby nie było mrozu, chociaż brał coraz większy, bo akurat w naszą stronę posuwała się cała kolumna. Odmyci, pięknie wygoleni i ustrojeni, a od twarzy czerstwych aż blask bił. Szli lekkim krokiem, a w samym środku z całą pewnością Najważniejsza Osoba, może z rodziną, bo i kobiety też tam były, a dokoła niej krążą jak gwiazdy po niebie najbardziej zaufani. Akurat, jak na znak, rozsunęły się chmury, słońce stanęło wprost nad nimi, przygrzewając z tkliwością. Dalej szli przedstawiciele zagranicznego świata w futrzanych czapach patrzący dobrotliwie skośnymi oczami. Później aż się zaniebieściło od dobranych wzrostem i wagą dorodnych mężczyzn z ochrony. Po całym naszym szeregu jęk przeszedł, a oni roztoczyli się jak wachlarz, w bucikach błyszczących z czubem, nie patrząc – śnieg nie śnieg, aż z żalem pomyślałem, że moja żona już się powiesiła i nie widzi, jaki tu zapał i szczęście wyzbyte cech egoizmu. Wciągnąłem brzuch, zresztą każdy się jak umiał poprawił. Wysoki Towarzysz dotknął czapki, więc my buchnęliśmy krzykiem i oklaskami. W umyśle przepowiadałem sobie, skąd jestem, ale Najważniejsza Osoba przed jakąś kobietką się zatrzymał i pyta: – A wy skąd jesteście? – A ona, że z Żywieckiego. – A ile macie lat? – Trzydzieści. – A on: – Budując te wasze, jak wy je tam nazywacie, statki, pamiętajcie, że tymi statkami będzie pływał wasz syn, matka czy inny ojciec i dlatego te statki powinny być dobre, eleganckie, trwałe. Prawda – zwrócił się do najbliższej osoby, która od razu dodała: – Zwrotne! – A jak się was zapytają potem, czyście mnie

widziały – dodała Najważniejsza Osoba, odpowiedzcie: „Tak, widziałam go”. A jak się was spytają: A jaki on?, odpowiedzcie: „Zwyczajny! Zwyczajny!”.

Tu już zapał przerósł wszystko, sam dyrektor miał łzy w oczach, a my, prosty naród, to już szkoda gadać. A Gość odwrócił się i odszedł w natłoku i coś tam widać rozmawiał na drugim skrzydle, bo usłyszałem „z Żywieckiego” i znowuż buchnęły okrzyki, następnie cała kolumna wsiadła do samochodów i ruszyła przed siebie, oświetlona słońcem i zalana błękitem. Mnie samego po napięciu, naturalnym biegiem, wzięła senność i słabość, a po kościach i mięśniach darcie, jako że ominęła mnie zupa regeneracyjna. Dookoła też ludzie podpierali się o siebie z powodu zimna, które, kiedy zapał minął, coraz mocniej brało, i tak współdrzemaliśmy, bez różnicy wieku i płci, tuląc się i szukając u siebie ciepła nawzajem, aż padło służbowe polecenie: „Rozejść się do wypełniania obowiązków”.

Na wodzie przepięknie kołysała się zwodowana „Konstytucja ZSRR”, wszystkie brygady rozchodziły się do normalnej roboty. Słabsze organizmy przysypiały na stojąco, a wybredniejsze wygodnie w kucki, podpierając się o mur. Jedynie brygady wykończeniowe energicznie przystępowały do wykonania wnętrza.

Ja udałem się pod kotłownię, ponieważ miałem tam cichą umowę z pracownicą w starszym wieku, która za wyreperowanie zamka do drzwi odlewała mi potajemnie dwie szklanki mleka z nadziału za szkodliwość, którego potrzebowałem niezbędnie od czasu przygarnięcia kotki – szczeniaka w młodym wieku, przymarzającego na śmietniku. Podjąłem decyzję przezimowania jej w naszym wozie. I muszę powiedzieć, że nie żałowałem, bo o ile pozostali mieszkańcy szumieli, o tyle półtoraroczniak, mój syneczek ukochany o naturalnie marzących oczach, który ostatnio łaził osowiały, odmawiając spożycia posiłków, teraz przy bożym stworzeniu ożywił się i do spółki wypijali mleczko, bez którego kotka to już na pewno nie dałaby rady przeżyć. Miałem zamocowaną specjalną blaszankę na odlew mleka i poruszałem się energicznie, bo dodatkowo chciałem popodłączać światło. Z przyczyny, że dziadek od strony żony pozrywał

wszystkie kable, wieszając się na nich, zresztą bezskutecznie, w wychodku na dworze. Zniszczył cały system i jeszcze się kłócił i wymawiał. Jak mówiłem, ciężko szło z nim wytrzymać. Siedział w nim diabelski ambit, nie mógł wybaczyć, że wnuczka poszła za mnie, a nie za księgowego, ciągle skowyczał, że piłby sobie teraz na umór słodką herbatę, zagryzał chlebem z marmoladą. Mało mu było, że śpi w osobnym końcu na wypchanym sienniku, najbliżej kozy i pod kocem. Uspokajałem go, jak mogłem, że żadnej takiej nadziei nie było i być nie mogło, że owszem, wspomniany urzędnik księgowy wdał się z moją małżonką we wstydliwą sprawę, ale w ich miłości więcej było zmysłowości jak czego innego. I na pociechę mu jeszcze dodawałem, że ten księgowy, jakby na to nie patrzeć, powiesił się, tak więc żadnego dużego pożytku z niego w perspektywie nie było. Ale dziadek kręcił tylko głową, mamrotał do siebie i przeklinał mnie, że kable słabo zamocowane i puściły. Popłakiwał, a półtoraroczniak, jako osobowość wrażliwa, wtórował mu od razu.

Akurat jednak pod kotłownią widzę, jak z umówioną pracownicą w starszym wieku stoi tamta podmawiaczka w okularach i podżega. Pracownica w starszym wieku rozkłada na mnie ręce, bo jak się okazuje, cofnięto jej nadział mleka za szkodliwość, z powodu, że minister wydał zarządzenie, że pracy szkodliwej dla zdrowia w naszym humanitarnym pozbawionym wyzysku i naigrywania systemie być nie może.

– Ale jest – judzi ta w okularach – a mleka nie ma!

– Owszem, jest jak najbardziej. W kotłowniach duchota i wody powyżej kostek, jednak minister zapowiedział, że gdyby nie zlikwidowano nadziału mleka, toby się nie chciało zlikwidować szkodliwości, a na szkodliwość w socjalizmie nie będzie, nie było miejsca i jeszcze długo nie.

Zacząłem się zamartwiać, jak taką sprawę przeżyje kicia, a ta w okularach dalej jątrzy i judzi, że w takiej Japonii albo innej Szwecji to nie są rzeczy do pomyślenia i żeby to podnieść na KSR.

Ale pracownica w starszym wieku tylko się śmieje:

– Owszem, owszem, wszędzie są kobiety – w USA, w Federacyjnej Republice, ale co z tego. A u nas jest serce. Jak jest 8 marca, podjeżdża

samochód, wysiadają, podadzą rękę. W poprzednim roku otrzymałam na ósmego solniczkę za 18,50, goździka za 12 – łącznie 30,50, a dodatek za szkodliwość mam 50 gr, to ile ja bym musiała przepracować godzin za 30,50, które normalnie w kobiece święto dostaję?

Akurat wtedy aż mnie dreszcz przeszedł. Wychodzi moja kobietka, co ją przyuważyłem u dyrektora z okazji kondolencji. Rozgrzana, czerstwa, buchająca parą, w waciaku rozpiętym, spod którego widać całą żelazną budowę. Skłoniłem jej się z miejsca, ale przeniosła wzrok wyżej na niebo, odetchnęła sobie parę razy powietrzem, odwróciła się i do środka. Zagapiłem się za nią, rozmyślając, czy to nie jakieś uczucie daje mi znać o sobie. Ale akurat z warkotem i gwizdem, buksując w śniegu, wali prosto na mnie, do tego tyłem, ciężarówka z rozwartą klapą. Pod budą upycha się z 30 mężczyzn, z szoferki wygląda Wysoki Towarzysz i komenderuje: „Wsiadać!". No to wlazłem, w głębi widzę, przysypia Słoniu, Mały i ten Czarniawy, który uprzejmie się przesunął, miejsca postąpił. Kierowca zatrzasnął klapę i już jedziemy za bramę. Dokąd to? – pytam.

Ale ludzie nie wiedzą, tylko szybko usypiają, rzuca nimi na zakrętach jak nieżywymi, jak nie w lewo, to w prawo, walimy z fantazją ulicami, nadużywając klaksonu, martwię się o kicię i elektryczność, bo nie wiem, kiedy wrócę i co ze mną będzie – fucha jakaś obowiązkowa albo co? Czarniawy się przyznał, że też nie wie, co jest co. Wszystkich wyłapano, załadowano i tyle. Widzę, że sam wierci się niespokojnie, ale tak się składa, że na całej platformie tylko my dwaj nie śpimy. Wjeżdżamy do lasu. Czarniawemu na twarz krople potu występują. Las robi się pusty i niezaludniony, a on coś tam do siebie mamrocze, nawet już na mnie nie patrzy, tylko głową kiwa i dziwnie się kołysze.

A tu i drzew mniej, po polu wiatr ciska bryły zamieci. Ale chwała Bogu walimy przez bramę, psy szczekają, chorągwie szumią, śnieg odmieciony, podjazd żwirem wysypany albo nawet piaseczkiem żółtym, kierowca klapą trzaska – „Wysiadać!" i już jesteśmy przed pięknym jak namalowanym pałacu z drzewa przetykanego chyba nawet marmurem, a nad nim tablica: „Ośrodek Szkolenia Aktywu". A ze środka i muzyka, i wesele, i gwar.

Wysoki Towarzysz na czele, my za nim, poziewając i taczając się od pracy, a tu ciepło bucha, zapachy drażnią nozdrza jakby barszczu albo nawet bigosu, dywany w robotniczym czerwonym kolorze, miękkie, że się aż zapadamy, kelnerzy we frakach z półmiskami nad głową, z których i dymi, i pachnie, a z jednego nawet zabłyszczał okiem świński ryj.

Staramy się stąpać ostrożnie, nie odbijać od ścian kryształami zastawionych. Mężczyźni na ogół odżyli, a nosy same łapią zapachy. Tu dopiero Wysoki Towarzysz zatrzymuje nas na komendę i wyjaśnia, że Najważniejsza Osoba podczas uroczystości po wodowaniu, robiąc przegląd gości, oznajmiła: „Nie widzę tu ludzi pracy". Więc jesteśmy, naprzód! Sala się otwiera, drzwi przeszklone, kelnerzy robią przejście, a w środku nowoczesny zbytek, fantazja, dowcip, elegancja, pokarm w nieopisanych ilościach. W rogu orkiestra gra popularną melodię „Katiusza", baran pływa w śmietanie, baleron w płatach, szynka, salceson, serki śmietankowe, świeże winogrona, kartofle, zielony groszek, lody, masło, chleb, cukierki – tak że twarze nam się rozjaśniły. Zwłaszcza że znad stołów wystawały czarujące i wesołe oblicza ubranych stylowo gości, krążyły flaszki w najprzeróżniejszych kolorach, kształtach i opakowaniach takich, że nie można było odgadnąć ich zawartości, zaś całość sali łagodnie szumiała i buzowała jak morze. Postaliśmy chwilę, Wysoki Towarzysz gdzieś poleciał i się wrócił. Znowu odbiegł i zaraz podbiegł na nowo, ale już z informacją: „Można wracać". Tak więc odwróciliśmy się i ożywieni ruszyliśmy pospiesznie do samochodu. Nie minęła godzina, jak pod stocznią opuszczono nam klapę. Jeszcze jedna i powróciłem do domu. Półtoraroczniak z kotką objęci we dwoje spali przytuleni, grzejąc się w najlepsze, matka smarowała ojca, żeby mu pomniejszyć bóle z powodu niemożliwie zaawansowanego gośćca, dziadek narzekał na opuchłą po powieszeniu szyję, że nie może śliny połknąć. Ale co najgorsze, kiedy zamierzałem przystąpić do podłączania wychodka, okazało się, że ktoś odłamał na opał drzwi, tak że – nie mówiąc o wstydzie – przy obecnych mrozach ciężko będzie tam wytrzymać. Ze smutnymi myślami, że nam się opał kończy, usnąłem i tego dnia wysypiałem się do czwartej rano, nie

myśląc o Bożym świecie, a jedynie o kobietce pracującej w kotłowni, tak że moja dusza zapomniała o wszystkich troskach.

Z samego rana pracowaliśmy pełną parą, ale jednak tylko trochę, ponieważ zmniejszyło się ciśnienie gazu, wygasły palniki – pozłaziliśmy na dół i nie wiadomo było, co robić, dopóki nie powstała sprawa piaskowania od nowa, pomimo obietnic bez maseczek ochronnych. Ja po spożyciu zupy regeneracyjnej poczułem się silny i na pewno bym to podjął w przeciwieństwie do Misiaka, który zaczął wywijać rękami, tłuc pięścią, wznosić hasła, że dosyć tego, że albo tak, albo inaczej. Od nowa zmianowy załagadzał, a mnie odesłał do Wysokiego Towarzysza na odlewnię. Nie wiedząc, jaki obrót przybiorą sprawy, zastałem go na odlewni, jak dyskutuje z niedużą plastyczką – specjalistką, zamawiając od niej hasło „Dziś wykuwamy na każdym stanowisku pracy lepsze jutro". Jeden z boku wtrącił się, że oni odlewają, a nie wykuwają, ale Wysoki Towarzysz wyjaśnił uprzejmie, że rozchodzi się o przenośnię. Specjalistka dziobnęła palcem w inny projekt „Pracując dla kraju, pracujesz dla siebie": – Czy tu też rozchodzi się o przenośnię? – ale Wysoki Towarzysz objaśnił, że w tym wypadku chodzi o konkret.

– A podpis „Ludzie dobrej roboty"? – uczepiła się specjalistka z jędzowatym uśmiechem: – Przenośnia czy konkretnie? I czy na przykład robotnicy odróżniają, co jest konkretnie, a co jest metafora?

– Odróżniają tak, że lepiej nie mogą – odpowiedział Wysoki Towarzysz, nie zmieniając wyrazu twarzy odlanej z kamienia. Machnął na mnie i udaliśmy się do gabinetu, gdzie wyraził mi w imieniu władzy ludowej wdzięczność za dotychczasową wymianę myśli, dodając, że udało mu się wywalczyć dla mnie cztery skrzynie żywej sosny na podpałkę. To już nie wiedziałem, jak dziękować. Bo czy słowa mogą się tu na co przydać, kiedy koza prawie już wystygła, półtorarocznіak nieswój, ojciec w reumatyzmie, a obaj – trzylatek i pięciolatek – ledwie, ledwie.

Kiedy przyszedłem do siebie, z miejsca opowiedziałem, jak Misiak sobie pozwala. Wysłuchał spokojnie, a nawet uśmiechnął się. Następnie zaczął włączać różne gałki, pokręcił, wcisnął i na ścianie zamigotał obraz

z telewizji, w którym jednak zobaczyłem ni mniej, ni więcej, tylko chytre oczy Okularnicy, brygadzistę Jurka, Słonia, jak zachłystując się, wygłaszali jakieś mowy bez dźwięku. A każdy głupi by się domyślił, że w grę wchodzi nic innego, tylko podmawianie i to wszystko w spawalni na dużej hali. Przycisnął drugi guzik, od nowa zebrani ludzie, jeden tyłem stoi, wymachuje rękami w charakterystyczny sposób, bije pięścią, jednym słowem Misiak. Nowy guzik – praca wre. Wszystko wyłączył, ciężko westchnął i mówi:

– No i sami widzicie, jak ciężko ten dalszy dynamiczny rozwój zapewnić, bo na prawo, lewo ryją, brużdżą, ufać nikomu nie można, takie wszędzie chamstwo, prostactwo i siły antysocjalistyczne. – Wbił we mnie oko i mówi: – Wiem, że można mieć do was zaufanie. Wiecie, że za trzy dni posiedzenie komitetu samorządu robotniczego. Jednym słowem tak a tak. Zgadzacie się czy odmawiacie?

Zapytałem się, na co takiego, kiwnął głową i dodał:

– Wielu by chciało to zrobić, sprawie się zasłużyć, przynależność po dobrej stronie potwierdzić. Ale was żeśmy wytypowali, bo na to zasługujecie. Nie będziecie zresztą sami, towarzysze wam pomogą.

– Czyli że o co chodzi? – pytam znowu.

Na nowo kiwnął głową i dodał:

– Pogadajmy jak Polak z Polakiem. W odpowiednim dniu napuścicie zimnej wody do kaloryferów, znaczy nie tyle napuścicie, co spuścicie gorącą w dużej sali BHP, gdzie warcholstwo przypuści atak.

– Napuszczę – odpowiedziałem, bo co ja innego mogłem odpowiedzieć.

Po otrzymaniu szczegółowych instrukcji powróciłem do brygady, gdzie w ogniu pracy wypruliśmy sobie żyły do ostatniej kropli przez następne godziny, przy czym mnie dodatkowo ożywiał zapał, z przyczyny desek, bo już w każdym razie ogrzewanie wozu na bite dwa tygodnie miałem ponad wszelką wątpliwość zagwarantowane. Pomyślałem, że jakby jeszcze wrogie siły przycichły, moja kobietka zwróciła na mnie uwagę, udało się osiągnąć mleko dla półtoraroczniaka i kotki, to byłbym niedaleko od spokoju i szczęścia. Nade mną Mały w stanie całkowitego wyczerpania chwiał się

i huśtało nim na boki. Co i raz to przerywał, bo być może z powodu zawieruchy go mdliło ponad miarę. Ja w odpowiedzi narzucałem swoje pełne wdzięczności mordercze tempo. A jednak znowu nastąpiła obiektywna przerwa w dopływie prądu. Zleźliśmy na dół, osłonili przed wiatrem, Słoniu przypiął się do Perły Bałtyku, a Okularnica, błyskając czterema oczami, zaczyna wykładać, że na KSR-ze chcą nas zmusić, i to do tego, żebyśmy przegłosowali uchwałę przeciwko swoim rodzonym interesom. Czyli karę za złą pracę. A zła jest, bo ludzie odchodzą, materiałów nie ma, przestoje niezawinione. Ze smutkiem pomyślałem o niej jako o niepoprawnej sile i od razu wzrok mój powędrował na Misiaka nie bez powodu. Bo rzeczywiście zaczął z miejsca bić po ścianie, że przerwy w pracy na dyrekcję trzeba, demonstracji albo innego strajku. Myślę, że nie wiedzą, co mówią, bo właśnie nie buntowaniem, a przez pracę można kraj poddźwignąć i wyprowadzić i bym mu w twarz to powiedział i rzucił się do pracy, gdyby nie nieustająca przerwa w dopływie. A po drugie, teraz mogą się odbijać u Wysokiego Towarzysza w telewizorze. A tu co gorsza Słoniu się do Misiaka przyłączył, a nawet inni też zaszumieli, fikają i podskakują, aż nieoczekiwanie Okularnica mówi:

– Basta! Inaczej trzeba. Legalnie, formalnie i bez hałasu, w tej chwili siłowy numer na nic. Oni są gotowi – zanim się zbuntujesz, już cię nie ma. A powiesisz się albo rzucisz, przywiedziony do determinacji z komina albo innej burty, podjadą elektrowozem, kurtką przykryją, wywiozą i śladu nie zostanie.

I dalej przypomina pamiętny 1970, a także inne sprawy, aż do ostatnich strajków na innych wydziałach, zadławionych i tych, co wieszają plakaty, wyłapanych. Za to na KSR-ze to już inna sprawa. Tu wszyscy wystąpimy co do jednego naprzeciw uchwale krzywdzącej, na początek.

Misiak jeszcze tłukł się o ścianę i mącił, ale przeważająca większość podniosła jednomyślny krzyk poparcia za wyjątkiem brygadzisty Jurka, który miał jak zawsze wzrok wbity gdzie indziej, a myślowo był nieobecny. Okularnica zaapelowała do niego jako do uczciwego człowieka, Jurek skierował w nią niewidzące oko i przyznał się, że w nic takiego jak KSR nie

wierzy, ale też uważa, że na razie na siłę jest jeszcze gorzej, i proszę bardzo, jak tak, to on przyjdzie i jako delegat zagłosuje ze wszystkimi: Nie!

Zapanowała narodowa zgoda, wesołość, a Mały począł nawet na osobiście wykonanym instrumencie w podobie skrzypiec grać melodyjnie własną kompozycję słowną o grubym sekretarzu, który przyszedł do lekarza. Akurat jak na zamówienie popłynął prąd i zabraliśmy się do nadganiania planu.

Bezpośrednio po pracy pobrałem za zgodą i pismem odręcznym pakunek złożony z dwóch skrzyń drewnianych produkcji made in Sweden, zabezpieczyłem resztę w umówionym miejscu przed ludzką zazdrością albo i złodziejstwem i udałem się pod kotłownię. Odczekałem. Jest. A następnie w odległości kroków dziesięciu – dwunastu poruszałem się za moją wybraną kobietką, przy czym ona ze dwa razy obejrzała się, ale nie dała po sobie poznać, żeby jej było przyjemnie. I widzę, jakby nigdy nic podchodzimy pod bloki. Domy stoją poważnie, parami albo równym rzędem, albo nawet półkolem, każda cegła mocno osadzona i przykryta tynkiem, a dalej weszliśmy między najnowocześniejsze, pięknie złożone z całych gotowych kawałków. Bo jak później miało wyjść na jaw, kobietka zajmowała sobie z dwojgiem dzieci, a także rodzicami, wygodny pokój połączony z kuchnią, ubikacją i ogrzewany automatycznie. Wchodząc do klatki, obróciła się jeszcze raz, a po upływie jakichś 15 minut, które przestałem bez ruchu, oddając się myślom, pokazała się przez szybę w pokoju na parterze, po czym na dobre zaciemniła firanki.

Następne dni pracowaliśmy zapamiętale i ile się da, nie licząc przerw w dopływie prądu, przy czym każdorazowo po pracy, o ile wychodziliśmy o czasie, udawałem się za nią pod blok w równo odmierzonej odległości. Postałem, aż szron okrywał mi brwi i waciak. W domu półtorarocznіak poczuł się jako tako, ale akurat pięciolatkowi i trzylatkowi coś zaszkodziło jak to dzieciakom i bez przerwy latali do wygódki, napuszczając zimna, na co ojciec poskręcany skarżył się po cichu, dziadek lżył i urągał, a matka obcierała łzy. Aż strach byłoby pomyśleć, co by to mogło być, gdyby nie przydzielony przez Wysokiego Towarzysza deputat drewna. Tak przemijał

upływ czasu, aż tu jednego dnia moja kobietka, wchodząc do klatki, obróciła się w miejscu i bez żadnego wstępu zapytała, dlaczego łażę za nią do domu, o co mi się może rozchodzić, a także czy ma to oznaczać, że puszczam do niej oko?

Kiedy przeszła chwila, zgodnie z prawdą wyjaśniłem, że na jej widok od pierwszego spotkania w sekretariacie uniosłem się uczuciem i że mówiąc inaczej, ona jest moim przeznaczeniem na śmierć i życie.

– Co to, to nie – odpowiedziała mi na to bez namysłu – nie jestem nim, ponieważ po pierwsze, ja już nie mam żadnego przeznaczenia i nie chcę niczego takiego mieć, a względem szczęścia, to z góry z niego rezygnuję. – Następnie uzupełniła, że idzie jej już dwudziesty piąty rok, trzy razy szczęścia kosztowała, ostatnim razem, kiedy urodziła, popękała na niej skóra, a obecnie jest z całą pewnością za chuda i względem tego szczęścia to nie ma żadnej ochoty ani zwłaszcza zdrowia i że jak już, to woli się powiesić. Tu zwróciła się z uprzejmą prośbą, żebym przestał za nią chodzić, tracąc czas i wystawiając ją na śmieszne plotki.

A kiedy stałem zmartwiały, patrząc na nią z uwielbieniem gołym okiem, zaczęła mi długą chwilę wymyślać pomysłowo i potem dopiero weszła do bloku. Nie będę ukrywał, że pomimo takiego zachowania czułem, że pierwsze lody zostały przełamane, i chociaż przez następne dni ona się nie obejrzała w ogóle, ja sam byłem dobrej myśli, tym bardziej że trzylatkowi i pięciolatkowi się poprawiło i nie upuszczali ciepłego powietrza. Tak więc wylegiwałem się w nagrzanym wozie i snułem plany, a mróz bezsilnie trzaskał się po dworze. I tylko sen z oczu spędzał mi przybliżający się termin zebrania.

O tym i o owym rozmyślałem, stojąc w wielkiej sali zebraniowej w najbliższym sąsiedztwie kaloryfera, żeby mieć na niego oko, podczas gdy napływali wydelegowani. Po naturalnej kontroli przy bramie, także przy drzwiach, dobrze dorodni mężczyźni od nowa trzęśli, badali i dopiero przepuszczali. Zgodnie z ostatnim rozporządzeniem Wysokiego Towarzysza i zasadami dobrego stylu wszyscy rozbierali się z waciaków w szatni, zasiadając wzdłuż stołów. Niektórzy nawet poubierani uroczyście

w garnitury, inni byle jak. Ponad nimi w górze wznosiło się prezydium przykryte czerwono, z Wysokim Towarzyszem, Okrąglaczkiem i jeszcze innymi mężczyznami o surowych, mądrych obliczach, na których błyszczała troska o szczęście całej sali, a także – w szerokim planie – państwa. Ubrani wszyscy na czarno, jak się należy, ale spod marynarek wystawały najgrubsze swetry, jak również mieli narzucone palta i nałożone baranice. Spoglądali poważnie, wystając znad dyplomów, wazonów i wyróżnień, które zajmowały połowę stołu. Rozpowszechniano informację, że zanim co do czego, odbędzie się piękna ceremonia wręczania nagród i odznaczeń za udział w czynie, którego wartość wyniosła niewyobrażalną sumę idącą w dziesiątki milionów. Wśród hucznych oklasków przystąpiono do szerokiego rozdziału nagród indywidualnych dla robotników od 500 do nawet 1500 złotych dla każdego wytypowanego. Niestety ja na ten raz nie byłem przewidziany, ale brygadzista Jurek, Słoniu i Mały zahabaścili po dobrym tysiącu. Następnie prezydium przeszło do spraw bieżącej chwili.

Przewodniczący przypomniał legendarne sukcesy naszego przemysłu stoczniowego, podkreślił, że człowiek jako jednostka osiągowa to jest wyjątkowo piękna rzecz, dla której praca przed wojną była jarzmem, ale pod kierownictwem PZPR stała się dumą, natchnieniem, sumieniem, drogowskazem i źródłem radości. Zaznaczył nieustający rozwój świadomości załogi, która jest nie ta sama, ale nic dziwnego, bo do dobrego łatwo się przyzwyczaić. Podziękował za zaufanie, poparcie i kredyt w sytuacji, kiedy to każdy z obecnych wyrzeka się wszystkiego osobistego dla spraw najogólniejszych – dobra kraju, socjalizmu i utrzymania światowego pokoju.

Następnie uchwalono apel poparciowy dla strajkujących dokerów w Brazylii i farmerów w Tajlandii, rezolucję aprobatywną dla pokojowej inicjatywy Organizacji Wyzwolenia Palestyny i odwiecznych praw narodu palestyńskiego. Wypowiedzieliśmy nasze dumne „nie” nieuzasadnionym, prowokacyjnym, a zwłaszcza nieudanym próbom bojkotu igrzysk olimpijskich przez koła imperialistyczne niektórych państw zachodnich,

a także rezolucję „Ręce precz od Kampuczy” wymierzoną dokładnie w te same koła. Przy tej okazji, potępiając wielkomocarstwowy hegemonizm chiński, przekazano najgorętsze pozdrowienia marynarzom radzieckiej floty bałtyckiej, stojącym niewzruszenie na straży pokoju.

Sala biła brawa raz za razem, ale ja nie mogłem skupić się na pełnym tekście, ponieważ zamartwiałem się na śmierć, czy napuściłem wszystko, jak potrzeba, i czy temperatura w kaloryferze spada odpowiednio szybko. Bo na myśl, że coś pokręciłem, nie wywiązałem się z napuszczenia w sytuacji, kiedy deski na opał mi się kończyły, a mrozy szły po minus 20 stopni, włosy podnosiły mi się na głowie. A tu niestety na ciągły dotyk kaloryfery były jeszcze całkiem.

Prezydium raz za razem występowało, nawiązując coraz bliżej do nas jako do zmechanizowanego batalionu armii pokoju, że w sytuacji, kiedy każdy rok przynosi dalszą poprawę, surowe i bezwzględne kary finansowe, jakie na siebie nałożymy z własnej i nieprzymuszonej woli za niewykonanie planu i złą pracę, będą naszą wspólną zdobyczą, powodem do dumy i ostatecznym wyrazem najwyższej świadomości i swobody osobistej.

Brygadzista Jurek siedział z samego przodu i patrzył się beznamiętnie chyba w podłogę. Słoniu z Małym dużo bliżej wtulali głowy w ramiona, podnosili kołnierze i naraz zdałem sobie sprawę, że coraz więcej zebranych chowa ręce po kieszeniach i zapina guziki. Dotknąłem się kaloryfera, chwała Bogu, prawie zimny. Akurat Wysoki Towarzysz potępił dla przypomnienia chińską politykę, na co ludzie nawet chętnie zziębniętymi rękami bili brawo. Aż tu przewodniczący proponuje przy takiej zgodności zrezygnować w ogóle z dyskusji i przegłosować ustawę. Wtedy pomimo wszystko przez salę poszły szmery, ludzie wykręcają głowy, że jakżeż to tak, że zła praca nie przez nas zawiniona, że nie ma prądu, blachy, sprzętu, ludzie odchodzą, jak tu kary nakładać, jak drożyzna, nie ma co do ust włożyć, a kartofel może wydać się droższy od okrętu, że miała być dyskusja, że chcemy przemawiać. Głównie przodował w tym Misiak, wywijając pięściami i wygrażając słownie, podczas gdy przewodniczący

łagodnie wyjaśnił, że przykro mu, ale nie może w tym nie widzieć objawów warcholstwa, sobiepaństwa, sejmików i liberalno-burżuazyjnego anarchizmu, tym bardziej że konsultacje były szerokie, sprawa jest wyklarowana, przychodziliśmy do was, pytaliśmy, wygadaliście się – o co chodzi?

– A sportowcy – wykrzyknął Misiak. – Za swoje pieniądze mamy utrzymywać sportowców?!

Na to Okrąglaczek w ozdobnie wyszywanym swetrze z żywej wełny po samą szyję wzniósł poważną rękę i kręcąc ze smutkiem pomarszczonym czołem, przemówił z goryczą:

– Chcecie ze sportu zrezygnować? Może jeszcze obetniemy fundusze na teatr, na sztukę naszych artystów, wyrażających jedynie prawdziwy obraz życia w ostrej polemice z wyrodniałą sztuką Zachodu, głoszącą śmierć i wojnę? Artystów towarzyszących człowiekowi w jego szczęściu najgłębiej osobistym, w budowie pozbawionego naigrywania systemu socjalistycznego, ale pamiętających też o wspólnej walce? Pomyślcie tylko, jakie smutne i szare stanie się nasze życie.

Zimno właziło już wszystkimi szparami, ale poniektórzy jeszcze szumieli, wymieniając nazwiska, zapytując, gdzie Okularnica, gdzie inni, którzy mieli przemawiać. Na co Wysoki Towarzysz rozłożył ręce:

– Znacie ich najlepiej, wybraliście ich sami, mieli wystąpić. Dlaczego ich nie ma? Może chorzy, może im się nie chciało? Prosimy, niech ktoś nam to wyjaśni. Czekamy!

Akurat ja widziałem, ale tylko osobiście, że na przykład Okularnica, nawet jakby chciała, nie mogłaby przyjść, ponieważ zatrzymano ją na bramie, z powodu że jest z chwilą obecną przeniesiona z kadłubowni do magazynu, a jako taka nie może reprezentować kadłubowni na zebraniu i musi wyrobić sobie nową przepustkę do stoczni.

Nikt nie odpowiedział, a Wysoki Towarzysz dalej z żarem w oczach ubolewał, że tych wszystkich, co nie przyszli, nie ma właśnie dzisiaj, kiedy toczy się batalia o zasadniczym znaczeniu, batalia o serca i umysły, kiedy dorobek polityczny i zaufanie do naszej Partii wydaje i będzie wydawać

bogate plony we wszystkich dziedzinach życia. Potem zaproponował głosowanie, żeby nie było żadnych niedomówień, w pełni demokratyczne i jak najbardziej jawne.

Oddelegowani patrzyli się jeden na drugiego, twarze mieli blade, oczy pomrużone, dzwonili zębami i tarli ręce. Ja także przyuważyłem z radością, że mi ciałem zaczyna trząść, z ust wychodzi wesołym słupem para, a wszyscy dookoła dymili jak z komina. Jednym słowem nastawienie opadło, a kiedy przewodniczący postawił pytanie: czy może ktoś jest przeciw? Przy czym będzie to zwykły sabotaż, dowód wrogości dla Polski Ludowej i chamstwo; jeden brygadzista Jurek, nie oglądając się w ogóle do tyłu, podniósł rękę. I dopiero jak usłyszał, że on jeden jest przeciw i oczywiście Misiak, który się zaraz do niego przyłączył, na jego twarzy odmalowały się sprzeczne uczucia. Najpierw się zdziwił, potem wytrzeszczył oczy, następnie machnął ręką, splunął, roześmiał się jak szalony, powstał i ruszył między tłokiem w stronę wyjścia.

Wysoki Towarzysz wyraził pogląd, że oczywiście jest bardzo zimno i trzeba kończyć, ale on osobiście nie może nie zauważyć w takim lekceważeniu dla ogółu teksaskich obyczajów i szeroko rozlanego liberalizmu. Po czym poprosił o punkt przedostatni, jaki wpłynął. W wymienionym punkcie podniósł się w samym środku prezydium mężczyzna ze świadomą wolą w rysach twarzy, co do którego każdy wiedział, że ma willę, samochód zachodnioniemieckiej marki, ogród, hodowlę świń za miastem, a otacza się wesołymi kobietami, powiedział, że jest skromnym cywilnym członkiem partii, i przeczytał na siebie anonim, z którego wynikało, że otacza się wesołymi kobietami, ma samochód zachodnioniemieckiej marki, hodowlę świń za miastem i willę. Utkwił w sali oczy jak noże i zamilkł. Tu już muszę powiedzieć, że sala nie wiedziała, jak się zachować, czyli o co mu się rozchodzi. Zwłaszcza że ludzie robili się coraz bardziej skostniali, nawet ja sam skuliłem się w sobie, na szczęście Wysoki Towarzysz oświadczył podniesionym głosem: „Podłość ludzka nie zna granic", zarządził potępienie anonimu i poprosił o podsumowanie.

W takiej chwili przesunąłem się do wyjścia i udałem do kotłowni celem odkręcenia ciepłej wody na intencję zatarcia śladów, co uczyniłem z najwyższym wysiłkiem skostniałą dłonią, nawet przetrącona noga zaczęła mnie łupać. Po tym chciałem się wrócić na salę, ale akurat, kręcąc głową, idzie brygadzista Jurek. Coś mnie podkusiło iść za nim, chyba ciekawość, co on takiego musi odczuwać jako element. Z początku kroczył, wesoło pogwizdując, może dla niepoznaki, a co 10, 20 kroków rozkładał ramiona i wybuchał chichotem. Przeciągnąłem za nim uliczką za bramę, między samochodami MO różnego formatu, w których siedzieli uszykowani w długie rzędy mundurowi, słuchając chyba z ciekawości na prywatnych radiach, jak Przewodniczący nasze zebranie sumuje, i widzę, że Jurek idzie pod hotel, potem w lewo, aż znika w samoobsługowej restauracji z alkoholem. No to – myślę – zagłębię się za nim.

A tu gwar, święto, alkohol płynie jak rzeka. Zaraz przy wejściu oniemiały z żalu mężczyzna z małym krzywym okiem ronił samotnie łzy. Dalej przyuważyłem niepracującą sąsiadkę, posiadającą czworo dzieci, sweter dalekiej świeżości i zamiłowanie do alkoholu, która pomimo chudości pozwalała sobie z kim popadło, i aktualnie szerzyła sympatię w wesołym wianuszku mężczyzn, z których jeden śpiewał piosenkę tylko dla dorosłych, przytupując do rytmu nogą. Dalej poufnie dolewano z teczki do piwa. Pod namalowanym pięknie żaglowcem sterowanym przez uśmiechniętego blondyna, pokazującego białe zęby, który jedną ręką trzymał się koła i wyrażał kierowniczą rolę partii, pochylał się nad piwem w osamotnieniu brygadzista Jurek. Przystanąłem nieopodal, obok młodzieńca wybitnej urody z lekką tendencją do tycia, tak że pękała na nim ruda marynarka. A on pił i gwizdał do wtóru „Stepową gwiazdę". Kiedy namyślałem się, czyby nie zamówić herbaty, ponieważ akurat miałem przy sobie siedem złotych pieniędzmi, a czułem się przemarznięty od środka, młodzieniec wyciągnął spod marynarki, która zapadła się od razu, trzy kilogramy pięknej wieprzowiny i żeberka, chyba na handel. Odszedłem jak zmyty i już po chwili ucieszyłem się, że nie wziąłem herbaty, bo zacząłem rozgrzewać się za darmo, samą atmosferą. Krótką chwilę zaczepiał mnie mężczyzna, bez słów zgrzytający zębami z jakiegoś wewnętrznego smutku,

ale jednak oddalił się do bufetu. Brygadzista Jurek zdmuchiwał pianę, wesołość dookoła rosła, aż dopiero jeden z trzech, śpiących równo z głowami na stole, mężczyzn poderwał głowę i zaintonował:

16 grudnia roku pamiętnego
Wyruszyła stocznia na pałac rudego,

czym obudził kolegów, którzy złapali go pod pachy i trzymając się jeden drugiego, zatoczyli do wyjścia. Brygadzista Jurek wymieniał kufle i ciągle kręcił głową, na pewno przeklinając swój wichrzycielski charakter, i patrzył się w ziemię. Może mu było żal, że się kiedyś po chamsku zachował, jak przyłapał żonę z Osobistością z telewizji, czego ona mu nie wybaczyła i odeszła, i teraz musi pić samotnie. Może żałował Wysokiego Towarzysza, któremu zrobił taki kłopot. Nagle patrzę, że nie tylko ja jeden go obserwuję. Przy stoliku pod samą ścianą Mały ze Słoniem toczą ślepiami, męczą się, wykrzywiają twarze i piją, głowa przy głowie, raz po raz łypiąc na niego, jakby chcieli podejść, a nie mogli. Mało tego. Spod ziemi wyrósł przy mnie sam wichrzyciel na wielką skalę Misiak z zapytaniem, czy chcę się napić choćby i piwa. Nie chciałem z nim pić przy takiej różnicy ideowej, ale po pierwsze, nie chciałem go obrazić, po drugie, otworzył portfel ze skóry może nawet i świńskiej, gdzie jeden przy drugim stały uszykowane sztywnym szeregiem banknoty tysiąc-, pięćset- i stuzłotowe, a pod nimi kotłował się, brzęcząc wesoło, bilon. Tknęło mnie, jaką miał rację Wysoki Towarzysz, że kto jak kto, ale Misiak to już musiał być opłacany przez wrogów socjalizmu, może nawet z zagranicy. Tymczasem Misiak bez żadnej dyskusji przyniósł kufle i już piwo rozlewało mi się z błogością pod skórą. Zakręcił się na nowo przy barze, rozepchnął łysawego mężczyznę w sile wieku, w krawacie i koszuli bez guzików, który przedstawił się jako pasożyt, co nie dostaje paszportu, i próbował się wprosić na piwo, tłumacząc, że socjalistyczne państwo zyskałoby, gdyby pozwoliło mu pasożytować na ciele jakiegoś wrogiego kraju. Wypiliśmy znowu, a Misiak rozbawiony z chichotem dziobał palcem powietrze, pokazując to na Słonia, to na Małego, że chcieliby do brygadzisty podejść, ale im Judaszom wstyd.

Ja sam poczułem się na to niedobrze jako człowiek, który poza przekonaniem, że spokój buduje, a niezgoda rujnuje, jednak napuścił potajemnie wody na szkodę swojego fundatora, i chciałem odejść. Ale po pierwsze, co bym zrobił bez opału, po drugie, Misiak przytrzymał mnie jedną ręką, po trzecie, piwo robiło już swoje w moim niewprawionym organizmie i zmiękły mi obie nogi. Jakby tego było mało, Misiak przyznał się, że widzi przede mną perspektywę, uśmiechnął się, mrugnął zagadkowo i trącił łokciem. Słoniu uderzył głową o ścianę z wyrazem dzikiej rozpaczy, a oczy zagotowały mu się w twarzy, brygadzista Jurek jeszcze niżej opuścił wzrok w ziemię, a pod ścianą między stolikami przechadzali się, pełniąc służbę, dwaj milicjanci i sprawdzali, czy się komu jaka krzywda nie dzieje. Pasożyt zapowiedział, że się powiesi, i poszedł się żegnać. W wesołym kółku wychudzonej na śmierć sąsiadki obok ktoś zawył i zapłakał, że czwartą noc mieszka z nieżyjącą żoną, bojąc się to zgłosić z uwagi na kwaterunek, a Misiak szturchnął mnie i pyta:

– No i jak tam, woda pomogła czy nie pomogła?

Spojrzałem się na niego z zabobonnym strachem, ale on ciągnął dalej piwo ze słowami chyba niekompletnymi, które jeżeli miały jakiś sens, to przede mną zakryty:

– Niektórzy sobie myślą, że są mądrzy i że ludzie długo nie wytrzymają i tak czy tak wybuchną. A jak mają wybuchnąć, to niech w zimie wybuchną i się ich wymrozi. Ale człowiek, zwłaszcza robotnik, to jest taka rzecz, co wszystko przetrzyma – oczywiście do granicy, a do takiej granicy, to – ho, ho, ho – jeszcze daleko. Może ludzie i głupi są, ale nie tacy, żeby jak się ich sponiewiera, to już zaraz zakładali okupacyjny przy minus dwudziestu.

Ja jak w gorączce coś z tego chciałem zrozumieć, ale stolik naparł na mnie i pomimo wysiłku zatoczyłem się do tyłu. Usłyszałem nad sobą śmiech i mój nieprzystosowany organizm wyniósł mnie czym prędzej na ulicę.

Uderzyłem o słup oklejony plakatem z ostatnich dni występów cyrku radzieckiego, odbiłem się i poleciałem pod ścianę z nadzieją oparcia się o mur, niestety tuliła się tam sprytnie ustawiona na rano kolejka, która

dała mi odpór tak, że wyniosło mnie na środek chodnika. Dręczyło mnie pytanie za pytaniem, a najważniejsze, co takiego i skąd Misiak wie o wodzie, a jeżeli dużo, to co na mnie wichrzyciele wymyślą oraz dlaczego trącał mnie łokciem i mrugał. Wygaszono latarnie, ale świeciły się samochody, okna i wystawy – tak że w wystarczającym oświetleniu kobiety i mężczyźni gonieni przez mróz z ożywieniem szli do domu. Załapałem się pod wolną ścianę, chwytając oddech, myśli i równowagę. Jednak na krótko, bo nieduży mężczyzna okutany po szyję i przysypany śniegiem spojrzał się spode łba i rozrzucił w powietrze trochę papierów, które okazały się ulotkami anty. Powstało zamieszanie, zatętnił odgłos kroków, ale milicjanci już przywracali porządek, zakuwając albo wykręcając ręce.

Jak doszedłem do domu w chmurze śniegu, nie dowiem się nigdy, ale od rana w każdej przerwie z pękającą głową bezskutecznie poszukiwałem Wysokiego Towarzysza, aż dopiero dopuszczono mnie do gabinetu, gdzie w dodatku nie był sam, ale z uprzejmym mężczyzną o szerokich barach, niedużych oczach i policzkach błyszczących w myślącej twarzy. Wysoki Towarzysz dał znać, żebym mówił. Zawierzyłem mu swoją rozmowę z Misiakiem, z powodu której zamartwiałem się na śmierć, na co roześmiał się, żebym spał spokojnie.

– Jak mogę spać spokojnie, kiedy on jest być może w posiadaniu takiego na mnie materiału.

– Ach, czyli to będzie ten, co wodę napuścił – przeszył mnie bystrym spojrzeniem drugi mężczyzna, bawiąc się piórem z Chińskiej Republiki Ludowej i dobrotliwie wypinając brzuch pod kamizelką w prążki. – A swoją drogą, co ty taki nerwowy? – zwrócił się bez żadnego szacunku do Wysokiego Towarzysza. – Co ty tyle mieszasz, kombinujesz, przyspieszasz? Popatrz na takiego żółwia – też stworzenie boskie, a jak on sobie elegancko chodzi.

Wysoki Towarzysz zasmucił się i zapytał, czy ma to traktować jako uwagę służbową.

– O nie, kochany – uśmiechnął się kolejny posiadacz mojej tajemnicy – służbowo to ja cię zachęcałem do aktywności, ale tak z dobrego serca mi się

wyrwało.

– Czyli że co – obruszył się Wysoki Towarzysz – ręce mam założyć?

– A gdyby tak? Puść rzeczy na żywioł. Co ty się tak o pierwszego martwisz, jak on i tak raportów naszego ministra nie słucha.

Dla mnie ta cała rozmowa nie miała żadnego zdrowego sensu, ale widocznie dla nich miała, bo Wysoki Towarzysz zamyślił się na długo, po czym wydał polecenie natychmiast nie przejmować się i od razu wracać do roboty.

Akurat jedzono zupę regeneracyjną, dyskutując z żarliwością, ponieważ wyszło na jaw, że po pierwsze, Okularnicy nie wpuszczono wczoraj za bramę, po drugie, że ją przeniesiono na inny odcinek pracy. A po trzecie, podobnie rzecz się miała na innych wydziałach. Brygadzista Jurek posilał się na boku z twarzą, z której nic nie można wyczytać. Misiak zachowywał się, jakby mnie pierwszy raz widział, natomiast Mały był zapuchnięty i snuł się jak nieszczęście. Mało tego, dzisiaj Okularnica została przepuszczona na stocznię, jednak na bramie poddano ją rewizji ręcznej na okoliczność przenoszenia pism o nieoficjalnej treści z zamierzeniem szerokiego zasięgu na załogę. Jak napomykał z oburzeniem Misiak, rewizję przeprowadzono w dręczycielski sposób, posługując się jawną szykaną. W odpowiedzi na co Słoniu posunął się do próby siłowej interwencji na jej korzyść i został w następstwie obezwładniony przez radiowóz i wywieziony, na co podniosły się nawet głowy nawołujące do protestacyjnej przerwy w pracy. Jednak jak następnie poinformował brygadę zmianowy, Słoniu owszem został zatrzymany za chuligaństwo, ale absolutnie nie przeciw strażnikom, tylko że wybił szybę wystawową dwa tygodnie temu, obraźliwie odniósł się do szatniarza w lokalu gastronomicznym, dobijał się po nocy do drzwi hotelu robotniczego, utrudniając zasłużony wypoczynek towarzyszom pracy, przy czym kopnął w chorego psa, a z tego łącznie podpada pod kolegium i przeniesienie, tak samo jak Okularnica, na inny wydział.

Nastąpiły dni wytężonego kończenia planu, mróz zaczął z lekka odpuszczać, ja nieodwracalnie posuwałem się za moją kobietką po pracy

każdego następnego dnia, chyba żebym pracował na dwie albo trzy zmiany. Ale tak czy inaczej, spotykałem się co najwyżej ze wzruszeniem ramion. Byłem przygotowany to wytrzymać, wierząc niezłomnie w siłę i cierpliwość mojego uczucia, tym bardziej że z powodu zapracowania na śmierć moja miłość brała się tylko i wyłącznie z głębi udręczonej duszy.

Natomiast po pierwsze, trapił mnie półtoraroczniak, który nie nabierał rumieńców i o ile kotka przybierała, to on bez pomocy już nie chciał się poruszać i jakkolwiek nie dopuszczałem żadnych myśli, to udałem się z nim do lekarza, który polecił zmienić otoczenie, odżywianie i spodziewać się najgorszego. Kilka razy w czasie pracy przyduszały mnie łzy i nawet zacząłem myśleć, czyby się codziennie chociaż na krótko nie zatopić w modlitwie. Czego przed laty zakazał mi gorący patriota ojciec, rozgoryczony na niebo za los swój i kraju do kresu sił i reumatycznej choroby.

Po drugie, dziadek od strony żony wpadł w towarzystwo. Wychodził z rana, ledwie powłócząc, a powracał z pijacką pieśnią na ustach. Zaczął się dorabiać, obszył się cały na palcie ścinkami z futra, chyba nawet króliczego, zanosił złośliwym śmiechem, stroił pogardliwe miny i dożywiał w nocy po cichu, czkając i bekając z przeżarcia. Jak mi wkrótce naświetliły dzieci sąsiadów, dziadek przystał do prywatnego sektora nielegalnych śmieciarzy i grasował po śmietnikach w dobranym towarzystwie początkowo jako nurek w pojemnikach, a następnie przekwalifikował się na siódemkę, grzebiąc drutem zagiętym w formę wymienionej cyfry na samym centralnym śmietniku. Byłem na ten temat jak najgorszego zdania.

Ni stąd, ni zowąd w dzień sobotni dopisało mi szczęście, ponieważ otrzymałem od zmianowego, który był wysokim działaczem związkowym, wylosowany przez niego dla mnie bilet do teatru w nagrodę za patriotyzm, internacjonalizm i ogólną odpowiedzialność. Równo pół na pół z kobietami załadowano nas do ciężarówki i wyrzucono pod teatrem. Ku mojej radości do wytypowanych przez los należała także moja kobietka. Szatniarka z niezwykłą uprzejmością wyciągnęła rękę po mój waciak, dając w zamian ozdobny numer z żywej miedzi z wyrytą cyfrą 57. Po dywanach

przeszliśmy na właściwą salę, nad nami świecił żyrandol, a ciało moje ułożyło się z radością na wykładanym fotelu. Otaczali nas odświętni ludzie i odżywione kobiety jak lalki. Fotel był miękki i wykładany chyba może i aksamitem, kaloryfery grzały tak, że wiatr przestał hulać mi po kościach, poczułem, jak mięknie i wygładza się na mnie skóra i nawet ssanie w żołądku przycichło. Zerknąłem na moją kobietkę, która miała na obliczu wypisany wyraz błogości, zanim zgaszono światło. Kiedy mnie rozbudzono do wyjścia, czułem się nowo narodzony, ze świeżymi siłami udałem się na drugą szczęśliwą rzecz tego samego dnia, mianowicie na fuchę do osobistego mieszkania Wysokiego Towarzysza. Tej, do której zostałem także wyznaczony przez zmianowego w drodze wyróżnienia razem z Małym, pod którego fachowym kierunkiem przyozdabiałem ściany w toalecie oraz podłogę kaflem ozdobnym zabarwionym na niebiesko.

Zatrudniona u Wysokiego Towarzysza kobieta wniosła nam na początku po talerzu zupy, a na zakończenie dwa rozlane kieliszki z wódką, a także odliczone po 150 zł na każdego. Praca była czysta i w cieple, tak że aż ręce same się wyrywały do roboty. Jedyną niedogodność sprawiał fakt, że chciałem sobie ulżyć z pęcherza, czego nie miałem odwagi zrobić we wnętrzu, aż doprowadzony do ostatniego momentu udałem się pod pozorem na dwór do ogródka, pod zakratowane drzwi na taras, gdzie przez szybę przekonałem się naocznie, że nawet o tej wieczorowej godzinie mężczyźni z Kierownictwa nie ustawali w trosce o pierwszoplanowe sprawy. Bo od razu usłyszałem przez uchyloną szparę w oknie, jak Wysoki Towarzysz zarządzał dźwięcznym głosem „Wywalić ją trzeba", na co drugi chwiejnie oświadczył, że natychmiastowe wywalenie nie wchodzi w grę, jako niezgodne z paragrafem 51. – Ja do was poważnie, a wy mi się tu wpierdalacie z paragrafami i prawem. – Wysoki Towarzysz pokręcił z goryczą głową, ale tamten dalej się nie zgadzał i mazgaił, aż Wysoki Towarzysz, chyba wytrącony z równowagi, zadecydował z pogardą, że dobrze, już dobrze, inaczej to i w zgodzie z prawem załatwi.

Wróciłem najedzony, wyspany i jeszcze zakupiłem smażonej ryby dla półtoraroczniaka, ale ledwie co jej dotknął, rodzina wszystko rozdrapała,

z wyjątkiem dziadka, który był nieobecny, pewno hulał na śmietniku, a zresztą ryby do ust ostatnio nie brał.

Z samego rana, idąc w tłumie, napotkałem brygadzistę Jurka z Okularnicą. Jak podsłuchałem, Jurek był u Wysokiego Towarzysza, protestując przeciwko rewizji ręcznej na jej osobie, na co Wysoki Towarzysz był zdumiony, bo co do rewizji, to w ogóle nic nie wiedział, i zaraz dodał, że brygadzista sam widzi, jaki jest bałagan, czyli zła praca. A przecież to on sam głosował przeciwko karom za złą pracę. A jeżeli chodzi o demokrację, to chociaż głosował przeciw żywotnym interesom załogi, nawet kierownictwu, to jako że żyjemy sobie w Europie w humanitarnej cywilizacji i pod słońcem konstytucji, więc proszę, nic mu się nie stało. Poszedł się spokojnie upić i nawet nikt nie ma do niego pretensji o to, co tam w knajpie i przeciwko komu wygadywał.

Brygadzistą Jurkiem do tej pory trzęsły nerwy, natomiast Okularnica klarowała mu w słowach:

– Synku, ty do ludzi nie mniej żalu, oni są dobrzy, tylko że się boją. Jak staną przed prezydium, za którym siedzi pan Socjalizm, to ich ścina na miejscu. Głosują za, ale są przeciw, maszerują, ale stoją, jedną ręką trzymają na pochodzie sztandar, a drugą zaciskają w pieść za plecami. Im się nie opłaca ryzykować dla niedużej sprawy. Trzeba ich zrozumieć. Ja się nie boję, bo jestem sama, ty masz… – Tu zrobiła przerwę, jak rozumiem, mając na uwadze sprawę, koło której plotkowano po brygadzie, że żona Jurka, pracownica w Telewizji Polskiej, wdała się we wstydliwą sprawę z jakąś osobistością wysoką, podobno nawet ze sfer, i mało co w domu siedzi, raczej już za granicą, a brygadzista się osobiście synkiem w wieku lat sześciu zajmuje… – Ty masz żonę i syna – zakończyła jednak. Na to Jurek odpowiedział, w ogóle nie patrząc jej w oczy, że się też nie boi. I się rozeszli – on do spawu, ona do magazynu.

Co by nie powiedzieć, piaskowaliśmy tego dnia w maseczkach i była to nieopisana różnica i przyjemność, gdyż piasek nie wbijał się w twarz, oczy i nozdrza, tylko bezsilnie opadał po masce, pomimo czego tempo opadło wobec braku blach stalowych, natomiast rozszerzało się rozdawnictwo

nieformalne „Robotnika”, gdzie opisywano niemożliwe krzywdy, gwałty czy chociażby pobicia popełnione na rozmaitych pracownikach.

Minął nowy upływ czasu. Odpuściły śniegi, do tego sytuację w pracy i w domu poprawiał ciepły wiatr i nadchodząca za nim krok za krokiem kwitnąca wiosna. Sprawy miłosne mi się nie posuwały, natomiast raz i drugi zakupiłem pół kilo tłuszczu, po dużej znajomości, i półtoraroczniak napił się wesoło rosołu. Aż tu po pracy bez uprzedzenia zaprowadzono nas wszystkich do hali i postawiono naprzeciw prezydium, gdzie poza Wysokim Towarzyszem, Okrąglaczkiem, przewodniczącym Związku, stali długim szeregiem nieznani i niemundurowi mężczyźni. Ludzie byli bez humoru i zadawali nawet pytania: – A ci panowie to obstawa czy jak? – Na co Okrąglaczek zdziwił się uprzejmie, przedstawiając jednego za drugim:

– Jakże to tak? To jest przecież wasz delegat na zjazd i poseł na Sejm, samiście go wybrali i obdarzyli zaufaniem. A to towarzysz z ośrodka pracy ideowo-wychowawczej, jakbyście mieli jaką wątpliwość, to do niego itd. – po czym zakończył: – Przyszliśmy z jasną linią i tę linię chcemy wam tu przedstawić.

Na co Misiak wykrzyknął niepoprawnie:

– To o czym będzie konkretnie?

A Wysoki Towarzysz wzniósł rękę wysoko jak do błogosławieństwa i zapytał się żartem:

– No bo czy jesteśmy za warchołami? I tu trzeba z tego miejsca powiedzieć, nie jesteśmy. I możecie wracać do pracy.

Na co stojący w pierwszym rzędzie brygadzista Jurek splunął i zapytał się:

– Kto tu niby ma być warchołem? Czy może… – i wymienił po nazwisku Okularnicę.

Wysoki Towarzysz rozkrzyżował ręce:

– Nie ja to powiedziałem. I widzicie, bardzo dobrze, że od was wyszła ta precyzacja. Nie chcę mówić i chyba nie warto mówić, że nie powinni być

między nami tacy notoryczni wichrzyciele czy awanturnicy albo nawet – nie chcę używać tego zwrotu – ale jednak podżegacze.

– Absolutnie tak – dopowiedział Okrąglaczek – nie bójmy się tego słowa.

A Wysoki Towarzysz ciągnął dalej:

– Ich miejsce jest gdzie indziej. Na nas patrzą. Wszyscy jesteśmy za usunięciem, wyplenieniem i oczyszczeniem – i podniósł rękę do góry, a za nim całe prezydium i zagadnął prosto z mostu, czy może kto jest przeciw. I tu się stała ciekawa rzecz.

Pierwsza podjechała do góry ręka brygadzisty Jurka, druga – rzecz jasna – Misiaka, ale mało tego. Całe zebranie, jeden za drugim zamachało w górę rękami, tak że nie wiedząc nawet, co robię, wepchnięty w środek, patrzę – a już mam wyciągniętą rękę. W takiej sytuacji, kiedy przyszedł namysł, wstydziłem się opuścić. Zwłaszcza że ludzie wybuchali wesołym śmiechem. Brygadzista Jurek patrzył się za siebie, przed siebie i nic, tylko mrugał, a co do ludzi, to wykręcali głowy i patrzyli śmiałym wzrokiem.

Wysokiemu Towarzyszowi oczy zrobiły się kwadratowe, a Okrąglaczek głośno zauważył, że w tej kwestii najwyraźniej panuje na sali kontrowersyjność.

– Niby jaka? – wymknęło się ludziom. – I niby gdzie ona jest?

– O, co to, to przepraszam – ochłonął Wysoki Towarzysz. – Tylko nie tak. Tylko nie Teksas. Samiście zawsze żądali, żeby postępować praworządnie i demokratycznie. Czyli, wobec rozbieżności ocen, zgodnie z prawem kierujemy sprawę do komisji rozjemczej.

Od razu następnego dnia zmianowy mrugnął, czyli udałem się czym prędzej do Wysokiego Towarzysza w przeświadczeniu, że czeka mnie nie wiadomo co za podniesienie ręki. Ale jeszcze się nie zdążyłem wytłumaczyć, kiedy poklepał mnie dobrotliwie, że nie szkodzi, bo tym bardziej cenne będzie moje świadectwo na komisji rozjemczej, gdzie zeznam po przemyśleniu na chłodno, że Okularnica jest elementem, siłą, źle pracowała i działała na szkodę.

Zebrałem się na odwagę i mówię, że o ile chodzi o pracę, to złego słowa nie mógłbym jej zarzucić, a co do tego, że jest siłą, to ona jeżeli już była, to hamującą nastawienie takiego weźmy Misiaka, a co do szkody, to w ogóle nie ma o czym mówić.

Uśmiech zgasł mu na obliczu, a na wysokie czoło przybyła twarda fałda. Zacisnął rękę w pięść i zmienił się nie do poznania w innego człowieka, zapytując ze świstem, że jest ciekaw, czy ja sobie może myślę, że jak się powiedziało „A", to można na tym poprzestać, i czy się orientuję, co w 1970 robiła załoga z takimi, co do których się dowiedziała, że się dyrekcji wysługiwali? Mianowicie w zamarzniętym kanale uczyła ich pływać i że my się chyba w ogóle źle rozumiemy. Bo on ostatkiem sił przy pomocy próśb i gróźb Misiaka hamuje, który coś wyniuchał, żeby nie zeznał, kto wody zimnej napuścił, ale w takiej sytuacji za nic nie odpowiada. Zatrząsłem się, myśląc o kiepskim losie rodziny, ojca, matki, dzieciaków, a zwłaszcza półtorarocznia ka, bo dziadek to jakoś się załapie beze mnie. A on siedział jak chmura gradowa. Aż nagle uśmiechnął się, przechylił do przodu, klepnął mnie w ramię, trącił łokciem, sięgnął za siebie, rozłożył plany i zaczął objaśniać, jak się okazuje, układ nowego bloku mieszkalnego. Coś tam poprawiał, notował, przekreślał, aż wskazał moje rodzone nazwisko Ufnal, zaakcentowane ołówkiem na przestrzeni obrazującej dwa pokoje z kuchnią i łazienką rozłożone na parterze. Tu już ścisnęło mnie w gardle od za szybkiego biegu wydarzeń, a on dodał jeszcze, że widzi moją żonę w kuchni, dzieci w szkole, w wieku przedszkolnym w przedszkolu, i dopisał jeszcze na moich oczach własnoręcznie ołówkiem „Ufnal w pierwszej kolejności" i podkreślił. Strząsnąłem łzy z oka, a on wykładał, że Okularnica agitowała, buntowała, zwodziła, a i tak chcą ją jedynie przestraszyć, przy czym zginąć nie dadzą, nie wyrzucą nawet, bo tu nie dżungla czy inny kapitalizm, z drugiej jednak strony dopuścić nie mogą do anarchii, KOR-ostwa, Teksasu i szeroko reklamowanej demokracji. A dla dopełnienia Okularnica będzie miała regularnego adwokata. Co do mnie, odczytam jedynie oświadczenie z moich obserwacji, które mi doręczył z miejsca. Dobrocią to już można ze mną dużo, ale jednak jak się spojrzałem na tłum, co się w odpowiednim czasie zebrał pod budynkiem,

a wśród nich na Małego, Słonia, brygadzistę Jurka, i jak wyczułem na plecach pod koszulą ich nastawienie, kiedy odczytano, że świadkiem oskarżenia ze strony Dyrekcji będzie Ufnal, zimne mrówki przeszły mnie po plecach.

Pokładałem jednak nadzieję w ludowej sprawiedliwości, porządku i adwokacie, którego przystojny ławnik wprowadził na salę z pełnym szacunkiem, pod rękę, ale on pomimo tego wywrócił się na krzesło. Już chciałem go skrzywdzić podejrzeniem, że jest napity, kiedy z pokątnych szeptów dowiedziałem się, że jest osobą niewidomą. I bardzo chyba skromną, bo nie odzywał się w ogóle, tylko nie wiadomo po co, może dla fasonu, kartkował akta, a pod koniec podniósł jako okoliczność łagodzącą, że obwiniona obarczona jest rodziną. Co pomimo wszystko wywołało wesołość nie na miejscu, bo akurat ogólnie wiedziano, że jest osobą bezwarunkowo samotną.

Za to podczas mojego zeznania zapanowała taka cisza, że z miejsca poczułem się mokry, następnie usłyszałem za plecami warkot i zgrzytanie zębami, które wezbrało w burzę po ogłoszeniu prawowitego wyroku na jej niekorzyść, łącznie z najgorszym, czyli wyrzuceniem, czego się widocznie Wysokiemu Towarzyszowi nie udało załagodzić.

Powróciłem do domu najszybciej, jak mogłem, bocznym wyjściem, w niedobrym stanie. Do tego doszło rozdzierające serce kwilenie półtoraroczniaka, któremu do wtóru zawodziła kicia, kaszel i pojęki ojca, a także pełne życia i hałasu okrzyki zdrowych dzieci obchodzących nadejście wiosny. Z poczuciem, że po pierwsze, skrzywdziłem człowieka, po drugie, ludzie mi nie wybaczą i jestem beznadziejnie stracony, zaszyłem się w kąt obok dziadka i okręcałem dla półtoraroczniaka lalkę z drutów i gałgana, wyciętego z koca, nie chcąc ani jeść, ani myśleć o przyszłym. Dziadek dał tu niestety przykład daleko posuniętej demokratycznej chytrości, odmawiając na lalkę skrawków futra.

W trakcie przed domem słyszę wydaną znajomym głosem obietnicę o treści tyczącej się mnie: „Przegryzę go skurwiela w pasie”, i otwierają się kopnięte drzwi, a w nich stoją Słoniu i Mały, dysząc wściekłością, złą krwią

i alkoholem. No to widać jak dwa razy dwa pobiją, sprawa pewna, jednak pocieszam się – raczej chyba nie zabiją, czyli jednak dużo lepiej, niżby mieli utopić, co Wysoki Towarzysz na wypadek odmowy obiecywał. Tak więc w dobrym nastroju powstaję z barłogu. Półtoraroczniak, jako osobowość, coś wyczuł, bo zapiszczał przenikliwie. Dwoje starszych też się zbiło koło mnie. Jednym słowem podniósł się straszny wrzask i bałagan, a matka, nie doceniając sytuacji, mówi z gestem i ambitem:

– Poproś, synku, kolegów do środka, zaraz zagotuję kartofli.

A nawet się rozgląda, czyby się nie dało gdzie ich usadzić, jakby nie było wiadomo, że się nie da, chociaż ojciec z najlepszą wolą, pojękując, przesunął się na skrzyni, robiąc miejsce. Patrzę się, Słoniu stoi, oczy roztworzył, rozgląda się, jakby go zatkało. Obok tak samo Mały miętoli czapkę w ręku, a nawet Słonia trąca, żeby drzwi zamknął, bo się dzieciaki przeziębią. Istotnie, pomimo wyraźnie odczuwalnej wiosny, wieczór był i zimny, i padało.

Sytuacja się zrobiła nie do wytrzymania, zwłaszcza kiedy dziadek znienacka zabełkotał, że klozet na dworze przepełniony po brzegi, traktując ich, że nie przyszli po linii zemsty, tylko socjalnej. Aż tu Słoniu, nawet nie patrząc, mówi:

– To my już tego… kiedy indziej – i do drzwi.

Matka za nim w krzyk.

– Żebyście tylko, panowie koledzy, kici nie wypuścili, bo ją psami szczują, a jakbyście przyszli jutro, będzie herbatka z marmoladą. – A ich już nie ma.

Odczekałem, aż zamkną drzwi za sobą, wziąłem czapkę i za nimi na dwór. Stali i patrzyli się to na mnie, to na zamazanego tygrysa na wozie bez jednego słowa. Odszedłem o parę kroków, żeby w środku domu huku nie usłyszeli, jakbym się o wóz odbijał, wybrałem duży kasztan rosnący w pobliżu i oparłem się o niego, żeby mnie po każdym uderzeniu, jakby Słoń bił, a tak przypuszczałem, nie musieli na nowo podnosić ani ustawiać, zamknąłem oko, poddałem się do przodu twarzą: – Bijcie – mówię i czekam. Słyszę ich koło mnie, i dyszą, i przebierają nogami, a nie biją,

chociaż są w prawie. Przepędziłem komara z twarzy i nie wierzę własnym oczom. Otwieram oko, głowy opuścili, odchodzą. Kiedy przeszło pierwsze zdziwienie, myślę sobie – nie pobili, czyli co? Znaczy zlękli się! Nawet roześmiałem się do wewnątrz i dalej myślę po tej drodze: Jak się zlękli, znaczy sprawa moja dobra i górą, a oni dołem i frajerzy. I chcę zawracać do domu. Ale znowu coś mnie tknęło: odwróciłem się, patrzę za nimi, jak się wloką, i myślę, gdzieżby znowu oni tak nagle mieli się bać i czego albo kogo. Zwłaszcza Słoniu, co to już na pewno jest nie taki, a zna go każdy komisariat. Wiatr tchnął deszczem w twarz, a mnie w głowie powstał zamęt, w wyniku czego nie wiadomo po co zacząłem leźć za nimi w odległości, wysilając umysł i z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Tak weszliśmy między bloki, gdzie, jak przyuważyłem, poszli prostą drogą do mieszkania brygadzisty Jurka. Niebo otworzyło się na dobre, a ja, oparty o trzepak, wbiłem oko w piętro brygadzisty, obecnie człowieka samotnego z dzieckiem, który ciągle nie wydawał mi się człowiekiem złym, nie wiadomo dlaczego, bo żona od niego odeszła, pozostawiając go z dzieckiem, czyli że bić ją musiał w stanie alkoholu, powiesić próbował czy jak?

Męczyła mnie niepewność, nad czym się o późnej porze naradzali. I tak sobie myślę, jak by to było dobrze normalnie do nich zapukać, zapytać się, dlaczego nie bili, i ogólnie co jest co? Ale to dla mnie była możliwość na zawsze odcięta. Patrzę, aż tu się skóra na mnie jeży. Ni mniej, ni więcej, tylko Okularnica wprost wchodzi w klatkę Jurka. Szczęściem miałem naturalnie opuszczoną głowę, nie zobaczyła mnie, poczułem się jeszcze bardziej źle i stoję jak samotny pies na deszczu.

W tym samym czasie widzę, że nie ja jeden tak moknę. W jednej chwili od drzewa podsunął się do mnie uprzejmy mężczyzna nakryty płaszczem z ortalionu koloru czystego nieba, który z wytwornym fasonem chrzęścił przy każdym ruchu, i pyta, czy też aby nie mam zapałek. Zaprzeczyłem, a on z rozbawieniem przypomniał sobie, że sam ma; uparł się, żeby mnie poczęstować, aż w końcu, chociaż nie ulegam temu nałogowi, przez grzeczność i ciesząc się z widoku żywej duszy, przyjąłem papierosa

pochodzenia zagranicznego o nazwie Marlboro, a on parę razy oświetlił nas zapałką, zanim się na tym deszczu papieros zajął. Jak się okazało, wybrał się na spacer i deszcz go zaskoczył. Pogawędziliśmy o tym i owym, gdzie pracuję, jak się nazywam, w której dzielnicy mieszkam, ponarzekaliśmy wspólnie, aż rozpoczęła się regularna burza, która rozpędziła nas, każdego w swoją stronę.

Następnego dnia Wysoki Towarzysz poklepał mnie, że żyję, nic mi nie jest, poradził chodzić wcześniej spać, zamiast szwendać się po nocy i gadać głupoty. Tym bardziej że nastąpił okres przedterminowego wodowania „Rybaka Kamczatki" bez patrzenia na plany, ośmiogodzinny dzień pracy i inne bzdury.

Równocześnie nadciągnęło oczekiwane lato, na szczęście chłodne, dzięki czemu blacha nie rozgrzewała się tak na słońcu, żeby oparzyć. Jeżeli chodzi o ogół spraw, to brygada przyglądała mi się na ogół w milczeniu. Przyuważyłem, że Jurek, jakby ręką odjął, przestał pić, jednak nie świadczył mi nieuprzejmości. Moja kobietka nie odzywała się do mnie słowem, jednakże nie goniła, jak się za nią posuwałem. Dziadek przysnął w stanie nietrzeźwym na usypisku i spychacz go przysypał, jednak nie do końca. Ojca mniej łamało i oddychał z dużą swobodą. Matka zebrała się w sobie i zaczęła nucić piosenki, a dzieciaki wybierały się raz po raz bawić nad samo morze. Tylko kicia szalała po mieszkaniu jak wściekła, sierść jej zaczęła wychodzić i unosiła się kępami po mieszkaniu – odkąd pochowaliśmy półtoraroczniaka. Synaczka moja, jedyna najukochańsza kruszyna zgasła cichuteńko, tak że nikt tego nie zauważył – widać taki los. Powiem tylko, że przez siedem dni łzy zalewały mi twarz, co mi nie przeszkadzało, bo nie chciałem widzieć świata, który się koło mnie rozpościerał, a jedynie odbiło się to tak, że miałem mniejszą wydajność.

Pomimo protestów całej rodziny wyrzuciłem jego siennik, zabawkę w kształcie lalki i podpaliłem, bo kiedy się na te pozostałości patrzyłem, niemożliwa czułość wypełniała moje serce, traciłem możność snu i nawet jedzenia, na którym zresztą, odkąd odeszły wydatki ekstra na półtoraroczniaka, zaczęliśmy oszczędzać grube pieniądze.

Całe zamieszanie wzięło się dokładnie z szatni, podczas przebierania. Chociaż z jednej strony ludzie potem mówili o nalepkach do strajku w elektrycznej kolejce, a nawet w autobusach, z drugiej strony przy bramie przyuważyłem, że Mały idzie wzdęty za dwóch. Przez delikatność nie stawiałem pytań. A jak tylko karetka pogotowia przejechała wartownię, od razu podjechała do mnie elektrowozem młodziutka Chudziaczka, która biegała za brygadzistą Jurkiem, i jak mogła świadczyła mu sympatię. Chudziaczka przeładowała osobiście na boku, jak się potem okazało, nic, tylko materiały do strajku.

Ale dopiero jak się w szatni Mały odwinął z waciaka i wytrząsnął z siebie z szelestem zawinięte plakaty, a następnie przy pomocy zaczął je nalepiać, na wszystkie pytania odpowiadając: „Zakładamy strajk", zatrzęsło mnie na dobre, co robić. Na moich oczach dochodziło do sprzecznych reakcji – jedna część krzyczała: „Tak jest! Wychodzimy! A jak!", a druga, że to na nic. Pobiją, z pracy wyrzucą, spałują, łeb zgolą, w piwnicy zamkną, rozgonią, przesłuchają, spowodują krzywdy i obrażenia, zabiją jak w 1970 i będziemy potem podania o bezzwrotną zapomogę jednorazową pisać.

Ale inni znowu, żeby nie tchórzyć, nie dać się bo mamy rację, przetrzymamy albo nawet wygramy, i wychodzić. Ci, żeby na dwór, ci, żeby do maszyn. I tak rzucało ludźmi po szatni i halach, kotłowało, Mały poleciał gdzieś z ulotkami, brygadzista Jurek, zmieniony fizycznie, wyprostowany na całą długość, groźnym głosem i siłą swojego autorytetu skupił grupkę i nawoływał. Na plakatach wybite wielkie litery żądają wybudowania pomnika, przyjęcia Okularnicy, jakichś dodatków drożyźnianych i niemożliwej podwyżki. Jedni włączają maszyny, inni wyłączają, a ja stoję i nie wiem, gdzie się podziać, targany żółtą rozpaczą od jednej strony na drugą, odczuwając dodatkowo ludzki strach, bo to jednak za moim zaświadczeniem Okularnicę wyrzucono i ja w tamtej sprawie czystego sumienia nie mam. Do tego, myślę sobie, nic dobrego z tego nie wyniknie. Zobowiąże się organa porządku do podjęcia środków i przywrócenia ładu łącznie z użyciem i co? Z drugiej strony, co robić? Nadleciał zmianowy, łapie się za głowę. Krzyżuje ręce, rozrywa koszulę i krzyczy:

– Dobrze wam, ludzie, radzę: wracać!

– Strajkujemy! – wrzeszczy Mały.

– Oj, żeby wam to bokiem nie wyszło. To chyba w ogóle nie wy? Wy, proletariat świadomy, wykształcony, z dostępem do morza, otwarty na świat, zachowujecie się jak, nie przymierzając, jakaś siła określona. Zaczekaj, oszukany proletariacie! Pogadamy jak Polak z Polakiem! Domówimy się!

Znowu wir się zakręcił, część zawraca, ale jakiś nowy wrzeszczy:

– My byśmy poczekali, ale my nie możemy dłużej czekać! Ja czekam od urodzenia, 35 lat. Tobie się dobrze żyje, to możesz czekać. Naprzód, proletariacie, nie damy się pognębić!

A Jurek dodaje pełnym krzykiem:

– Na plac, bo już inne wydziały stoją!

Stoją czy nie stoją, znowu się odkręciło, bo większość na pewno z samej ciekawości wychodzi, żeby oko położyć, co i jak.

Wynurzamy się, aż tu z jednej strony widzimy, jak normalnie ludzie, jeden za drugim, mrowią się, przystępując do pracy na rusztowaniach, z drugiej – z hali, spod napisu „Brygada czynu obywatelskiego", jednak wali z krzykiem i transparentem nowa grupa, a na nim te same co w szatni żądania. Tu to już z 50 ludzi szło z wielkim krzykiem. Patrzę – z przodu na czele Słoniu. No to już wiem na pewno tyle, że będzie gorąco. W oknach biur poutykano głowy jedna na drugiej, lokomotywa włącza syrenę, patrzymy, na niej mężczyźni machają do nas z radością. Jednym słowem zamieszanie na całą stocznię. Ludzie na rusztowaniach przystanęli bez ruchu. Ja wrosłem w ziemię z boku, przytłacza mnie przewidywane nieszczęście, aż tu w całym zamieszaniu Słoniu dostrzega mnie, zasłoniłem głowę, ale tylko uśmiecha się z wesołością. Podnosi rękę, ale tylko klepie mnie po plecach i przekrzykuje:

– Co się tak trzęsiesz?!

I już jak w kotle, zakręciło mnie do przodu, lokomotywa dalej gwiżdże, ludzie na rusztowaniach mrowią się, ale już w odwrotną stronę do dołu.

Z drugiej strony, sądząc po huku, jeszcze poniektóre maszyny pracują, jeszcze siły spokoju, i zdrowego rozsądku mogą być górą. A tymczasem fala niesie mnie prosto na grupę, co się wynurza w zdecydowanym szyku, na której czele prosto na nas wali Okrąglaczek. Oczy mu się gotują, a twarz wyraża namiętności. Obok jeden zmianowy, jakiś z kadr, może nawet i delegat, dalej inni dorodni mężczyźni kroczą z podniesioną głową. Stoimy w grupach naprzeciw siebie, nas więcej, ale tamci dostojniejsi autorytetem, władzą i stanowiskiem, za to nad nami i sztandar, i transparent. W krótkiej ciszy Okrąglaczek zaczął wykrzykiwać raz po razie: – Co? Co jest?! Co jest?! – Na co brygadzista Jurek: – Strajk jest! – A tamten: – Żaden strajk jest! Do roboty! – i chwycił się za transparent.

Tu już mi się nawet żal go zrobiło, bo nie przypuszczałem, żeby Słoniu do tego dopuścił. I rzeczywiście. Dzięki pomocy młodzieży specjalnej od swojej strony Okrąglaczek go wyrwał, ale jednak zaraz Słoniu zanurkował i w jedną chwilę transparent sterczał nad naszą krzyczącą stroną, natomiast Okrąglaczek podnosił się z ziemi, do tego utykając i cofał ze swoimi do biura, wygrażając zresztą pięścią.

Aż tu z hukiem i tętentem przewodniczący leci z dyrekcji, rozkładając w ręce zmiętoszoną gazetę, że nie czas teraz strajkować, kiedy wystarczy wziąć „Trybunę" do ręki, żeby zobaczyć, jak imperializm doprowadzony do ostatecznej rozpaczy i wściekłości naszym dynamicznym rozwojem krąży dookoła i tylko patrzy bezlitośnie wilczym okiem. I dalej krzyczy wielkim głosem do tłumu, aby nie podważał podwalin, miał miłosierdzie nad naszą zadłużoną ojczyzną socjalistyczną i jej geopolitycznym położeniem:

– Pracujemy i rozmawiamy! Nie może tak być, żeby się nie było jak dogadać.

Na to jemu wysoki z brodą odkrzyknął, że owszem, my mamy miłosierdzie i z nami się można dogadać, tylko że tego dziwnie nikt nie próbował!

– Tak jest! – zakrzyknęli inni. – Co pomogły te wasze KSR-y? Za długo żeśmy czekali, a jak teraz strajkujemy, to tylko po to, żebyście z nami poważnie zaczęli rozmawiać!

Tamten dalej do czegoś wzywa, ale ludzie jakby pourywali się z łańcucha, wybuchają zgiełkiem, krzyczą, że nic nie słychać.

– Miłość rządzi plemieniem człowieczym czy co? Ludzie jesteście czy wilki? – wrzasnął przewodniczący ostatecznym głosem. A tamten z brodą na to:

– A tego to już my sami nie wiemy. Znaczy, myśleliśmy, że ludzie, ale po tym, jak nas traktujecie, to może nawet nie wilki, tylko psy i to kundle! A was jak za gardło nie złapać, to na paznokieć nie postąpicie!

Wycisnąłem się spośród ludzi na bok: co robić? Krzywdzeni to ci ludzie i są, aż ściska za gardło i chciałoby się z nimi lecieć, do tego nie każdy ma przyobiecane jak ja najlepsze życie. Wtem błysnęła we mnie myśl: polecieć, naświetlić Wysokiemu Towarzyszowi niektóre sprawy krzywd. Jest to człowiek od początku serdeczny, na pewno ma u każdego i autorytet, i szacunek, a on sam nie może wiedzieć, jakie za jego plecami szły tłumienia, dławienia i nadużycia. A jak się dowie, może przeciągnie się na stronę strajku? Albo co wymyśli.

Podniesiony w taki sposób na duchu biegnę na skrzydłach do dyrekcji, gdzie w sekretariacie sądny dzień. Ludzie biegną z aktami, Okrąglaczek krzyczy, Najwyżsi Towarzysze go otaczają, sekretarka ręce łamie, dyrektor osobiście wisi na telefonie. Przebiegłem przez otwarte drzwi do Wysokiego Towarzysza i odetchnąłem, bo on stoi sobie przy zamkniętym oknie i ze spokojną ostrożnością wygląda; na mój tętent odwrócił głowę i mówi: – Rychło w czas. Teraz do roboty! Ale już, dawać przykład! I czapkę zdjąć! – Rzeczywiście, ze zdenerwowania wleciałem nie tyle zresztą w czapce, co w hełmie, bez pamięci o jakichkolwiek formach. Zerwałem go z głowy, mówiąc jednocześnie, żeby czasu nie tracić, że z tą Okularnicą to nie całkiem było w porządku, i zaczynam naświetlać sprawę, na co on, nie oglądając się już w ogóle, wrzasnął do tyłu: – Won, robolu, do roboty!

Osłupiałem, szukając drogi, żeby mu wyjaśnić to straszne nieporozumienie, ale zamiast tego stała się rzecz gorsza. Na pewno bez mojego udziału krew uderzyła mi do twarzy, zęby się wyszczerzyły i wypowiedziałem absolutnie na pewno bez woli: – No, no, no!

Na to zgrzytnął zębem, odwrócił poczerwieniałą twarz, odplunął, rzucił się do biurka coś wyjmować i wkładać sobie pod pachę, po czym widząc, że stoję wrośnięty, tracąc kamienny spokój, na nowo podniósł głos w okrzyku: – Ja cię zgnoję! – co poparł wygrażaniem zaciśniętą pięścią, który to ruch był dzisiaj na porządku dziennym.

No to już nie było na co stać. Wlazłem do sekretariatu, gdzie dyrektor wydawał albo otrzymywał jakieś polecenia na telefonie, kadrowiec w okularach, z rękami już nie rozkrzyżowanymi, tylko trzymając się oburącz za głowę, powtarzał jak jakaś maszyna: – A ostrzegałem, a ostrzegałem! – Ktoś drugi z boku: – Tak się musiało skończyć. – A dyrektor, nie mogąc widocznie wytrzymać, wrzasnął: – Jak jesteście tacy mądrzy, to ich teraz zatrzymajcie!

Już na samych schodach, którymi schodziłem, nie wiedząc gdzie i po co, dogonił mnie, skacząc po dwa stopnie albo więcej, Wysoki Towarzysz. Ucieszyłem się, że poczuł skruchę, ale gdzie. Pchnął mnie na ścianę i zleciał po schodach z wypchaną teczką pod jedną pachą, a „Sylwetkami ludzi morza" pod drugą. Przyspieszyłem za nim, ale już pobiegł za róg w lewo. Zawahałem się – podlecieć za nim? – a tu on znowu zjawia się przede mną, zadyszany, zlany potem, przebiega obok, w ogóle nie zauważając, jak koło trupa albo innego przedmiotu, i buch, skręcił w uliczkę pod murem do bramy nr 1. Wyglądam za nim, już dobiega, przepuszczają go i już jest na ulicy.

Natomiast od strony, w którą pobiegł najpierw, z hukiem, krzykiem i tętentem wychodzi cały tłum z transparentami, a nawet flagą w kolorach narodowych, głównie mężczyźni, ale kobiety też. Tu ożyła we mnie myśl, co z moją kobietką, czyby nie zajrzeć pod kotłownię, ale cały tłum znowu mnie uniósł, prosto pod główną bramę nr 2, z tyłu dobiegają nowi i dopychają, a na koparkę jeden za drugim wdrapują się ludzie i wygłaszają mowy do ludu. Ja żegnałem się przez ten czas z nadzieją na pracę, mieszkanie, a może i życie, oczekując na przybycie sił porządku oraz innych współdziałających z nimi. I przestałem żałować, że półtorarocznіak tego nie dożył. Wszyscy krzyczą o Okularnicy, białym niewolnictwie,

o sprawiedliwości, której nie ma na lekarstwo, i że chyba nie w takim celu socjalizm został z dużym trudem założony, żeby nas zagłodzić. A tak czy inaczej, ma być jedynie sprawiedliwość i jedno niebo dla każdego.

Słuchałem ze łzami, ale nie bardzo miałem nadzieję, żebym ja się miał do tego nieba dostać. W kolejności na koparce krzyczy Misiak jak jakaś horda, żądając tak jak inni wyboru komitetu, co by się składał z ludzi o autorytecie w brygadach. Już sam widok Misiaka, który chyba na pewno posiadał wiedzę o mojej sprawie wodnej, przeszedł mnie dreszczem. Nie wiedząc kiedy, znalazłem się przy samej bramie, ale znowu myślę: na co mi to? Po drugiej stronie, tak czy inaczej, czeka Wysoki Towarzysz, który mi złożył ciekawą obietnicę i na pewno dotrzyma. W tym czasie nad ludźmi wyrósł na koparce dyrektor. W wybuchłej wrzawie rozkrzyżowały się żądania o znanej treści, a nawet o brak prześladowań za udział w strajku, jednym słowem czysta fantastyka. Dyrektor kręcił głową, rozkładając ręce, wzywał i apelował.

Ale już na koparce w tym momencie może nawet i historycznym za jego plecami wyskoczył przystojny, wąsaty, więcej niż średniego wzrostu i zakrzyknął głosem o groźnym zabarwieniu:

– Poznaje mnie pan? Dziesięć lat pracowałem w stoczni i czuję się stoczniowcem. Od czterech lat jestem bez pracy.

– No i co? – zapytał się dyrektor.

– No i to, że zakładamy strajk okupacyjny.

To chwytało mnie za gardło wzruszenie, to strach. Na koparce nie tracono czasu, już dyrektor był zmuszony wysłać po Okularnicę osobisty samochód, a wąsaty mężczyzna wytaczał nowe postulaty, apelując o spokój, porządek, a już w żadnym wypadku nie dać się wyciągnąć jak w 1970 za bramę. Okularnicę przywitano tak, że aż się popłakała. Ale dyrektor zauważył, że chyba nie będziemy rozmawiać w warunkach braku podstawowej wygody, i wybrane kierownictwo strajku, w którym znalazła się z miejsca Okularnica i brygadzista Jurek, udało się na pogadanki, wyznaczając przedtem ochotniczo straż porządkową przy bramie

z zadaniem nie przepuszczać nieznanych, a już w żadnym razie alkoholu i nie wypuścić sytuacji na ulice.

Tymczasem ludzie łazili, kłębili się, namawiali, przy czym z daleka dobiegali tacy, co się dopiero rozpytywali, o co chodzi, czy to aby czasem nie jakiś wypadek.

Ja, nie wiedząc, co robić ze sobą, podjąłem bezowocną próbę odnalezienia mojej kobietki, ale mimo że podszedłem do sprawy cierpliwie i z mocnym postanowieniem, w takim huku zakończyło się na niczym. W takiej sytuacji usiadłem na desce pod ścianą i w jedną chwilę zasnąłem. Obudził mnie krzyk, huk, już myślałem, że to siły ładu i porządku weszły, ale nie. To przed dyrekcją tak wrzało. Sam dyrektor zasłaniał się brakiem kompetencji na podpisanie, a Wąsaty namawiał, żeby je od razu zdobył. Dyrektor ubolewał, że dzień przestoju to jest czterdzieści osiem milionów i na naszych oczach puszcza się z torbami przemysł stoczniowy ludowej ojczyzny, a Wąsaty – że na skutek głupiego braku energii takich dni przestoju było w zeszłym roku najmniej 50 i czy dyrektor podpisuje czy nie? Dyrektor na to, że nie. Znaczy się, mówi Wąsaty, pan odmawia. A Dyrektor, że absolutnie, że nie odmawia. Tylko tyle, że nie podpisuje.

Do tego obudziłem się wcale nie wypoczęty, ale przeciwnie, połamany. Tymczasem niebo wisiało nisko nad głową w kolorze czarnym jak samochód Wołga i groziło deszczem. Pod gmachem dyrekcji tłoczyła się ciżba mężczyzn i kobiet, natomiast część, tak samo jak ja, spała spokojnym snem, niektórzy nawet na ziemi. Dookoła wylewała się fala żalów. Ludzie byli rozżarci poza tymi, którzy byli wystraszeni. Przestraszeni mówili, że się źle skończy, a tamci pierwsi, że jest im wszystko jedno i niech się źle skończy. Akurat w przerwie wyszedł Jurek, wbił wzrok we mnie i mówi, bez niczego przechodząc na ty: – Chodź no tutaj.

Tak w grupie mężczyzn w różnym wieku znalazłem się w opasce w samej służbie strajkowej. Rozstawiliśmy się pod murem, przy czym ja zostałem przeznaczony do zadrutowania wolnej przestrzeni. Nic nie dawałem po sobie poznać, coś jednak musiało być w moim wyglądzie, bo brygadzista, jak się znowu na mnie spojrzał, wybuchnął śmiechem i tak

samo jak Słoniu przedtem, klepnął mnie ze słowami: – Nic się nie bój, przeżyjemy. Jeszcze się zdrowo naharujesz.

Moim zdaniem z takiego powtarzania niewiele wynika, a obaj, z którymi rozciągałem druty, też nie mieli wyrobionego dobrego zdania o przyszłości. Zwłaszcza jeden przestrzegał, że trzeba zawsze się orientować, on na przykład był lekuchno przestrzelony 10 lat wcześniej, ale zasymulowal brak życia, wrzucili go na innych nieżywych do piwnicy, odczekał i bezkarnie udał się na opatrunek. A gdyby jako lekkoduch się poruszył, mogłoby go coś złego spotkać.

Jurek kierował ruchami wagonów, którymi według własnego pomysłu zastawiał boczne dojazdy, żeby na wypadek najgorszego ciężki sprzęt na teren nie wjechał.

Następnie moi koledzy zaczęli posilać się, zamierzając mnie nawet poczęstować, ale spotkali się z odmową ze względu na nerwy napięte do granic wytrzymałości. Zaraz zlecieliśmy się zresztą w kupę, ponieważ złapali jednego leżącego przez mur obcego mężczyznę w stroju stoczniowym i o mało nie doszło do jakiegoś nieszczęścia, gdyby nie Jurek, tak że ostatecznie wzięli go za ręce i nogi i z powrotem przerzucili.

Inni się z dumą przechwalali, że jakby był desant podwodny od morza, to stocznia dysponuje najlepszą w świecie ekipą płetwonurków i że mysz się nie przeciśnie. To wszystko mi w ogóle nie poprawiało samopoczucia. Tak samo panująca cisza wydawała mi się złowieszcza. Woda w basenach stała tłusta i bez chlupotu. Wymieniono mnie na świeżego mężczyznę, a sam, pogrążony w myślach, poruszałem się bez wyraźnego celu. Jak dotąd nie było najgorzej, krzywda na razie mi się nie stała, mogłem lekko dać nura przez mur, na swobodę, tyle że co mi z tej swobody. Wyjść nie ma po co w takim stanie, najwyżej, żeby ocalić głowę, ale i tak nie na długo, bo bez pracy nic mnie innego z rodziną nie czeka, jak namydlenie na siebie stryczka. Do tego wichrzycielstwo okazuje na ogół serdeczność, przebaczyli zeznania, nawet nie wiem dlaczego, może to jakiś podstęp, ale jaki? Utopić nikogo nie topią, odebrać – nie słyszę, żeby komuś coś

odbierali, zresztą co mnie mogą. Zaświtało mi, że wóz mogą. Ale wóz chyba nie podpada pod odbieranie, łóżko i koza chyba też?

Robiło się ciemno i aż mnie dreszcz przeszył. Na wprost mnie ze zwojów drutu wystawały trzy gołe głowy bez ruchu. Podszedłem, na szczęście tłumiąc okrzyk. Tak że nie rozbudziłem trzech mężczyzn, którzy schronili się przed chłodem, dokładnie wymościli szpule papierem i spali sobie wygodnie w środku. Przy płonących stosach suchych drewienek i czego się dało albo na ułożonych równo cegłach czy styropianie, albo nawet deskach leżeli sobie inni mężczyźni albo siedzieli, gdzieniegdzie przemieszani z kobietami, przy czym większość z nich wpuszczona została do pomieszczeń zamkniętych na krzesła, na stoły, pod stoły albo nawet na fotele. U dyrektora i w całym BHP paliły się okienka, czyli kolegium obradowało, a ja odnalazłem swoje poprzednie miejsce, które na całe szczęście było wolne, skuliłem się cały w sobie, żeby nie utracić ani trochę ciepła, i dopiero obudził mnie idący od bramy głównej razem ze świtem krzyk i nowy zamęt. Ludzie darli się na cały głos wśród okrzyków: – „Komuna" stanęła!

No i rzeczywiście, z samego rana przybyła delegacja bratniej stoczni w Gdyni, o czym wieść szła z ust do ust, a ten z wąsami zakrzyknął od razu:

– No to teraz porozmawiamy sobie z Dyrektorem.

Rzeczywiście od razu zaczęły się bezwzględne rozmowy, a do tłumu przed budynkiem co chwila wybiegał ktoś ze środka i informował na bieżąco, że Dyrektor zwleka na zwłokę. Przez telefon tak samo dobiegało do nas raz za razem, że stoją dalsze zakłady i jakie. Jednak do czasu. Bo jak zadzwonił mistrz krajalni II przedsiębiorstwo Hydroster, to akurat zdążył się przedstawić, wymówić: „Strajkujemy", i ostatecznie za sprawą sił porządku, bezpieczeństwa i współpracujących z nimi organów telefon ogłuchł. Jednak Komitet nie dał się zbić z tropu, wyznaczając łączników i podejmując dalekosiężną decyzję o usunięciu kobiet, ustalając stałe spotkania niezależne od okoliczności dwa razy dziennie od 9 i 21, z jednym wyjątkiem soboty, gdzie ze względu na odcinek serialu produkcji amerykańskiej *Pogoda dla bogaczy* spotkają się o 22.

Akurat wtedy dokładnie natknąłem się na moją kobietkę. Stała sobie na boku, ani smutna, ani wesoła, tylko głęboko zamyślona i wbijała we mnie źrenice. Ukłoniłem się ze zdziwienia, a ona ni stąd, ni zowąd pierwsza spytała, czy ja tutaj zostaję.

– Raczej chyba tak – odpowiedziałem uradowany.

– Czy z całą pewnością?

– Chyba raczej na pewno – mówię ogarnięty zapałem, nie wiedząc, do czego pije, i w ogóle nie rozumiejąc, dlaczego tak sobie do mnie po prostu mówi jak do jakiego bliskiego człowieka.

– Nie wiedziałam, że jest pan awanturnik. Osobiście radziłabym panu iść do domu.

– A co ja mam za inne wyjście? – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Zaczęła na to kręcić głową:

– Pan robi z siebie małe dziecko. Niech pan powie od razu, czy pan chce wygrać z policją, wojskiem, partią i Edwardem Gierkiem?

– Ja nie chcę wygrać – odpowiedziałem szczerze – mnie do tego zmuszono, żeby chcieć wygrać. Ja wiem, że ci wszyscy, których pani wymieniła, mogą mi w najlepszym razie ciężko zaszkodzić, ale ja już nie mam po co wracać. Tak czy tak, jestem człowiek stracony, zaprzepaściłem przyszłość, nie mam po co patrzeć w twarz dzieciom, a na dodatek pani mnie nie chce.

– Ja pana może nawet bym i chciała, to moja rodzina pana nie chce.

– Jak to? – mówię i wierzyć mi się nie chce z radości, bo się boję, czy to nie jest z jej strony jakiś głupi żart.

– To nie jest głupi żart. Oni uważają, że pan jest awanturnik, karierowicz albo nawet bałamut czy ekstremista, a nie zakochany mężczyzna. Bo zakochany mężczyzna to się inaczej zachowuje, a nie tak jak pan, co tylko chodzi i obserwuje.

Na to zapytałem, jak się – jej zdaniem oraz rodziny – zachowuje taki człowiek.

– Tego nie wiem – odpowiedziała po namyśle – bo wyszłam za mąż wcześnie, bez zastanowienia i uczucia. Ale nie wydaje mi się, żeby tak. Ja w tej chwili mam 25 lat na karku i powiem od razu, że jak pan stąd nie wyjdzie, to nie ma między nami o czym rozmawiać. Bo ja nie zamierzam potem, jak się naharowałam gorzkiego chleba, odwiedzać pana w więzieniu albo na innym cmentarzu, gdzie się pan chcąc nie chcąc udaje. Dlatego też ja panu radzę po raz ostatni: jeżeli pan myśli o mnie poważnie, niech się pan przestanie zajmować tymi głupstwami, niech pan idzie do domu.

– Nikt nie idzie do domu – mówię i od razu widzę, że nie mówię tego, co jest, bo poza pracującymi matkami, które spieszą się, jak mogą, to tu, to tam po dwóch, trzech albo całą grupą mężczyźni podsuwają się pod wyjście, przy którym jednak straż stoi.

– Idą – mówi ona – i będą szli jeszcze bardziej pod jednym warunkiem, że nie będzie za późno.

A ludzie wydziwiają pod bramą, marudzą, kręcą głowami, poniektórzy nawet głośno wyrzekają do straży, że to niby poniektórzy się wyspali na fotelach, a my, hołota, na dechach. Do tego nadchodzi meldunek, osobiście przekazany przez Wąsatego, że o ile dyrektor się wzrusza i mówi, że rozumie, o tyle dalej brakuje mu kompetencji. Brygadzista Jurek dodawał ducha w słowach:

– Władza się łudzi, że ustąpimy, ale sprawy zaszły za daleko i nikt z nas nie myśli o wyjściu.

Ale ja widzę, że rzeczywiście ze dwie co najmniej setki niespokojnie, a nawet z pokusą zerkają na bramę. Moja kobietka zauważa przy okazji, że jak brat jej męża przejeżdżał w 1970 nyską, wrzucono mu rannych, tyle że kiedy ich przewoził, wpadł pod obstrzał idący równo po domach, pociągach i samochodach, i jak poszedł otworzyć klapę, najpierw krew popłynęła z wozu, po czym on już do siebie nie doszedł. I co ja na to?

Brygadzista Jurek przemawia, że Dyrekcja za naszymi plecami daje autobusiarzom podwyżkę 2 tysiące, żeby tylko ruszyli na miasto, ale

autobusiarze nie tacy, a tu ludzie mruczą: – A jak tacy, a jak się, dajmy na to, za naszymi plecami domówią i wyrolują…

Moja kobietka zadaje mi po raz ostatni pytanie: w jedną stronę albo w drugą, ale ja ani w jedną, ani w drugą. Brygadzista Jurek dodatkowo się do mnie uśmiecha, to jakże tak, wychodzić na siłę bez ich zgody? Z drugiej strony, uczucie pod postacią kobietki ciągnie za bramę. Może dałoby się wszystko naprawić. Z trzeciej, co sobie przypomnę, jak Wysoki Towarzysz dawał nogę na oczach publiki, to pomimo sytuacji bez żadnego wysiłku uśmiech wychodzi mi na twarz, co się dawniej w ogóle nie zdarzyło, chyba przy jakimś specjalnym figlu półtoraroczniaka z kicią, kiedy on się jeszcze poruszał. Z jeszcze innej Misiak z wodą wisi nade mną jak topór. Czyli stoję, nic nie mówię ani za, ani przeciw, jako człowiek, co się ani do jednego, ani do drugiego nie nadaje. Obok wyrywają sobie gazety o głębokim kryzysie w Izraelu i trzęsieniu ziemi w Chile oraz że premier odwiedził fabrykę rur, i cieszą się, jak się musi taki premier na wszystkim znać, i jeden straszy drugiego, że premier o nim osobiście też wie. Bo normalnie wraca premier do domu, żona mu miednicę z wodą podstawia pod nogi, a on mówi: – Podaj mi, kobietko, z jesionki kalendarzyk. – Otwiera go na literze i tam jesteś wpisany jako ty.

– No, to już jak pan sobie chce – moja kobietka wali prosto w bramę. Idę za nią z przyzwyczajenia. Jedni się cieszą, że w gazetach o nas ani słowa, czyli że chcą się po cichu dogadać, inni krzywią się, że to zły znak, znaczy po cichu wyduszą. Ja wytężyłem na kobietkę oczy do oporu, żeby ją, o ile to możliwe, obrócić siłą woli, ale to na nic, bo już zapadła się w tłumie pod bramą złożonym w głównej mierze z rodzin z rękami pełnymi pożywienia, ze łzami w oczach albo ustami pełnymi próśb czy nawet pogróżek, oraz mężczyzn po cywilnemu. Tymczasem wydano nam posiłek, przy którym przyplątał się do mnie ten Czarniawy, do którego miałem uczucie sympatii za małomówność, z drugiej strony, coś w nim siedziało, chociaż całym zachowaniem pozował na proletariat.

Pod bramą przetaczano poza koparką najrozmaitsze wózki, żeby ją wesprzeć na wypadek czegoś, jakby coś, a Czarniawy polazł za mną i po raz

pierwszy w życiu, chociaż się znamy około roku, odzywa się w słowach:

– Jeżeli można, to chciałem się panu do czegoś przyznać.

– Do czego takiego? – zapytałem.

A on wzburzył włosy, wykrzywił się, przymrużył oko, ni stąd, ni zowąd przyznaje, że go niepokoi, jak to się wszystko skończy i czy na pewno dobrze.

To już było po prostu śmieszne. Ja mam utracone dwa pokoje z kuchnią na blokach, dzieci, o których nie wiadomo, czy mają co do garnka włożyć, ukochaną kobietkę, która ma mnie za awanturnika, Wysokiego Towarzysza, który ma mnie zgnoić, ponadto wojsko, milicję i cały strajk z Misiakiem, który w dniu dzisiejszym na wniosek dyrektora o rozszerzenie składu komitetu wszedł do niego osobiście, a on do mnie z takim pytaniem. Całe szczęście akurat patrzę, idzie Słoń, mrugnął, zaśpiewał: „Nasz rząd się łudzi, że stoczniowcom to się znudzi", i kiwnął na mnie, czybym się nie chciał po mieście przewietrzyć, może nawet do domu zajrzeć, ponieważ on udaje się osobiście z misją do Gdyni samochodem typu dostawczego. Po namyśle zgodziłem się w jedną chwilę, a po formalnościach przejeżdżamy bramę przystrojoną w święte obrazy, kwiaty i przebijamy przez tłum. Ale kilometr albo dwa dalej z radiowozu macha milicja. No to, myślę, kiepska nasza sprawa, po co się było zza muru wychylać. Dookoła pusto, ludzi nie ma. Szeptem radzę się Słonia, czy aby wspólnie nie uciekać, ale Słoniu każe siedzieć. Tymczasem oni, jak na razie, nie każą wysiadać, nie skuwają ani nawet nie pałują, tylko spisują każdego z nas trzech, Chudziaczkę też, chociaż kobieta, trzęsą dokumentami i najwyraźniej się w sobie wahają: przepuścić nas czy coś innego? Aż jeden starszy stopniem pyta się Słonia o zamocowane godło:

– A ta flaga co?

– Polska – Słoniu na to – w przepisowych kolorach.

– Zdjąć. Widoczność zasłania.

Słoniu zaczął się kłócić, ale Chudziaczka sięga śmiało pod bluzkę, wyciąga medal na łańcuchu, pokazuje i mówi:

– Przepuśćcie.

A na medalu błyszczy wybita twarz naszego papieża. Popatrzyli sobie głęboko w oczy i milicjant pokazuje, żeby jechać. Jedziemy główną ulicą, ale ona jak nieżywa, jak na jakiejś planecie, bo jak nawet co przejechało, to radiowóz czy nyska albo co najwyżej czarna wołga z opuszczonymi firankami czy mercedes. Flagi w kolorach narodowych powtykane wszędzie, gdzie się dało utkać, jak na lewo napis „Niech żyje strajk" wymalowany farbą, to po drugiej na czerwono „Żądamy sprawiedliwości". Jak na stacji benzynowej cztery flagi, to po prawej transparent na 20 metrów, jak po lewej kobiety pracujące siedzą na murze, machają nogami i pozdrawiają naszą nyskę z furkocącą flagą, to po prawej obsługa w barze mlecznym „Dyrektorskim" mocuje chorągwie i też do nas macha, że strajk. Aż dech zapierało. Słoniu tylko palcem dziobie po szybie, nazywając zakłady, a Chudziaczka głośno odczytuje wspólne hasła. Podjechaliśmy w pierwszej kolejności pod blok brygadzisty Jurka, który zwrócił się z prośbą o synka, wobec wyjazdu jego żony pozostającej co najwyżej pod opieką sąsiadki, i dostarczenie go w prostej drodze do stoczni. Tutaj, jakby było dotąd mało, rozegrała się następująca sprawa: my ze Słoniem czekamy na korytarzu, podparci wygodnie o ścianę, Chudziaczka nacisnęła drzwi, które się okazały otwarte. Słoniu zapalił sobie i mruga do mnie wesoło. Aż ze środka dolatuje nas wrzask Chudziaczki nagły i niespodziewany. Słoniu, co muszę przyznać, nie tracąc czasu, jednym susem był w środku. No to trudno, idę za nim, tyle że trochę później, i widzę w kolejności: synek-blondynek, ostrzyżony krótko, oczka duże mu się błyszczą, kołnierzyk marynarski wyłożony, w wieku lat najwyżej pięciu siedzi sobie skulony pod ścianą, mieszkanie przewrócone, trzech mężczyzn w młodym wieku kłębi się w strojach cywilnych, powtarzając: „Spokojnie, obywatelu, tylko spokojnie", czyniąc ruchy o zabarwieniu pokojowym. Na samym końcu Słoniu z podniesionymi rękami nad głową, a w nich trzyma przeciętnej wielkości okrągły stół z polakierowanej sosny i prawie już tracąc panowanie nad sobą, wydaje okrzyki: „No, strzelajcie, łobuzy!", i dalej w tym sensie. Mężczyźni buchnęli koło mnie w drzwi, a przez dalszą drogę synek opowiadał zapłakany, jak wpadli, wszystko

porozrzucali, nie pozwolili wyjść, przepytywali o ojca i kazali w cichości siedzieć. I płakał, wzywając mamę, ale tuląc się z głową do Chudziaczki, podczas gdy rozrzewniony Słoniu zgrzytał, że nie puścił w nich stołem, a ja w milczeniu dziękowałem po cichu Bogu, że to się jakoś skończyło.

Podjeżdżamy między budy, wozy pod mój. Patrzę się, że dym leci z kozy i na nowo odczuwam ulgę, bo w ostatniej chwili miałem obawę, czy Wysoki Towarzysz nie zajął się osobiście moją rodziną i krwawicą. Ale gdzie! To pycha przeze mnie gadała. Co brygadzista, to brygadzista, do mnie nikt głowy nie ma. Na mój widok dzieciaki, które się bawiły w kupie, biegną z rozpostartymi rękami i krzykiem: „Tato wrócił, i to żywy". Ścisnęło mnie w gardle, przygarnąłem z jednej trzylatka, któremu zaprzepaściłem przyobiecane przedszkole, z drugiej pięciolatka ze spodniami obdartymi do granic wytrzymałości i dziurą na kolanie. Z boku wyglądają sąsiedzi, bo pozostałe dzieciaki otoczyły nas z wrzaskiem: „Ze stoczni, ze stoczni!". W środku dziadka nie ma w ogóle, matka gotuje sobie kartofle jak gdyby nigdy nic i płacze, a ojciec poskręcany tak, że bardziej nie można, zbiera się siadać.

Przed wejściem Słoniu ludziom objaśnia, że się trzymamy, a nawet damy radę i z całą pewnością wygramy, bo tak dalej żyć nie można. Oni kręcą głowami, wypytując się o synów albo nawet mężów. Ale matka jak tylko usłyszała, że chcemy wracać, zmieniła się na twarzy, przyblokowała drzwi i mówi, że to chyba jakiś żart, a kiedy wyjaśniam, że niestety, ale nie, ona zapytuje tylko o taki jeden drobiazg: co będziemy jeść? I w płacz. Chudziaczka wsadziła głowę, tłumacząc, że walczymy o tłuste jedzenie, a nawet ludzkie warunki dla każdego, ale matka przeprosiła, że chce rozmawiać z własnym dzieckiem, i zapowiedziała syczącym głosem, że będę miał ich na sumieniu, bo przez moją fantazję wszyscy zdechną w więzieniu albo z głodu na ulicy. Ojciec skręcał się po cichu z bólu, a ja zacząłem ją uspokajać, ale w odpowiedzi przeklęła mnie jeszcze w ostatniej chwili, wypchnęła i tak trzasnęła drzwiami, że wóz zaskrzypiał. Dzieciaki dopadły mnie, złapały za nogi, nie chcą się puścić. Słoniu zwiesił głowę i pyta się, jak będzie: także samo Chudziaczka, kręcąc się niewyraźnie,

dodaje, że jakbym został czy co, nikt nie będzie miał żalu, ale ja jak nieprzytomny mówię: – Jadę. – I bijąc się z myślami, raz za razem całuję dzieci i odpycham. Dzieciaki sąsiadów krzyczą za nami: – Nie dajcie się – a ludzie starsi, co już niejedno przeżyli, patrzą się ciekawie i kręcą głową, a niektórzy nawet obcierają łzy. Wyjechaliśmy na szosę taką samą, pustą, synek zasnął, Słoniu śpiewa dostosowany treścią utwór:

Nie mam teraz czasu dla ciebie
Nie widziała cię długo matka...

a ja się pytam Chudziaczki, co właściwie ma z tego być i jak to się niby ma skończyć. A ona na to, że związkami. – Niby jakimi? – Naszymi, żeby nas broniły. – A niby jakim cudem? – Ona wzruszyła ramionami, żebym się nie martwił, a Słoniu śpiewa:

Jeszcze trochę poczekaj, dorośnij,
opowiemy ci o tych wypadkach...

Przed samą „Komuną" od nowa radiowóz. Słoniu przeklina pomysłowo, że nas zawrócą, ale oni tylko grzecznie spisują każdego i nawet przepuszczają. Podjeżdżamy, ale tu to już jest nie tyle jak w Gdańsku, ile raczej w jakiejś fortecy czy innym obozie. Najpierw jest pusto przed szlabanem, przy nim posterunki w opaskach, dalej pusto od szlabanu do samej bramy, gdzie od nowa posterunki wychylają się zza drutów albo nawet barykady, do tego coś się tam gotuje, bo słychać niemożliwy zgiełk i hałas.

Jakoś przepuszczają nas za szlaban, akurat brama się otwiera, wywożą na elektrowozie mężczyznę w garniturze niebieskim, koszuli żółtej wykładanej, brązowych butach mokasynach i zrzucają. Przelatuje koło nas, nawet się nie oglądając, przełazi pod szlabanem i gdzieś sobie uciekł. A tam dalej hałas, wózek się wraca, stawiają na nim następnego o przyjemnej powierzchowności. W takiej sytuacji my, pomimo szerokich pełnomocnictw, w ogóle nie mogliśmy wjechać i przepuszczono nas na pieszo. Na dodatek trzymamy się jeden drugiego, żeby się nie zgubić. Jak

się okazuje, każdy, co do którego powstał pomysł wyrzucenia go poza nawias stoczni ze względu na złośliwe krzywdzicielstwo, miał uczciwie wyznaczone trzy minuty na wytłumaczenie się własne. Następny na wózku miał, jak mówiłem, powierzchowność przyjemną, blady jak chusta, włosy siwe, wiek podeszły, ubrany z igły, a dookoła do przesady wygrażają pięściami i trzęsą wózkiem w ogóle nie jak w Europie, tylko w jakiejś niemożliwej Ameryce. Aż na dany znak w ciszy jak makiem zasiał posiwiały tłumiciel, jak się następnie okazało, w godności posła, przedkłada ludziom ze łzami, że krzyczał w ich obronie, zaklina się, że bił pięścią w stół, zarzeka, że stawiał jedne po drugich sprawiedliwe żądania na ich korzyść, tyle że nikt, ale to nikt go nie słuchał. A ludzie nawet przyznają uczciwie: – Owszem, wiemy, że krzyczałeś, i na pewno biłeś pięścią, tyle że nam z tego nic nie było, a ty sobie żyłeś w domku z ogródkiem, samochodem i wypływałeś żaglówką, hodując w kaczniku 200 sztuk kaczek pekinek. Czyli że za bramę! – Jednak z drugiej strony krzyczą, żeby nie, bo w porównaniu do innych coś próbował.

Tak krzyżują się sprzeczne opinie, aż zapada powszechna decyzja: zostawić go, jednak pod warunkiem przeznaczenia pomimo wieku do ciężkiej służby jako strażnika pod siatką. Tamten dziękuje roztrzęsiony ze łzami, a my w ciasnocie podreptaliśmy przez tłum i patrzymy, jak sobie i tutaj sprytnie i elegancko pracownicy pobudowali, wznosząc styropian i ozdabiając go napisami. Gdzie indziej układają cegły na deskach, od góry ciągną brezent i krzyczą, że mają tu nie gorzej niż w domu, choinkę już wybrali, wyćwiczą na głosy *Bóg się rodzi* i spokojnie do świąt przetrzymają. Chudziaczka przeszła na odpowiedzialną rozmowę do ścisłego kierownictwa, a bokiem przemknął mężczyzna z opuszczonym smutnie obliczem – jak się okazało, pozostawiony jako człowiek niezły, chociaż jak najbardziej partyjny, bo jeden z sekretarzy POP. Jedynie ma zakazaną agitację, czyli używanie słowa partia w rozmowie.

Słoniu rozpytuje w sprawie zabezpieczenia do przesady, jako że nawet najbliższa rodzina nie ma w ogóle dojścia pod bramę, a przesyłki składa straż na specjalnie numerowanych ręcznie odmalowanych kwadratach.

Odpowiadają, że pole widzenia najważniejsze. W 1970 daliśmy się zaskoczyć, pruli do nas jak do kaczek, a tym razem się nie damy.

Jeszcze zanim żeśmy się pospali wyciągnięci wygodnie w samochodzie nyska z wyznaczonym powrotem na jutro, pomyślałem po pierwsze, ze smutkiem, że co by się oni, a tak samo my, mogli dać albo nie dać. Pomyślałem z drugiej strony, że i moja kobietka, i Chudziaczka, która grzała mnie swoją lewą stroną, mają oczy kropka w kropkę pod względem koloru. Po trzecie, przypomniałem sobie główki obu moich żyjących dzieciaków i pomyślałem, że nawet we własnej rodzinie nie mam żadnego poparcia i że chyba nie ma drugiego człowieka tak opuszczonego w biedzie i cierpieniu. Z rana przebiliśmy się samochodem w ogóle bez kłopotów, tylko nas spisywano w biegu i obfotografowano w minutę. Aż tu pod naszą stocznią jeszcze większe piekło. Brama gnie się pod naporem i faluje, sznurek mężczyzn wychodzi z opuszczoną głową, jedni na nich gwiżdżą, drudzy biegną naprzeciw i ściskają za ręce, jedni tak, drudzy siak, jednym słowem materii pomieszanie i nie daje się dalej jechać.

– Co jest, co? – pytamy się.

– Koniec strajku jest – woła ktoś wesoło.

Jechało z nami dwóch z „Komuny", którzy na takie słowa byli bliscy, żeby się szczypać, czy nie śpią, i w ogóle zmartwieli. Ale ze środka tłumu wypchnęli w górę mężczyznę ubranego w waciak, wiatr rozwiera mu rzadkie włosy, a on krzyczy:

– Jesteśmy autobusiarze. Załatwiliście swoje, a nas zostawiacie! – i już się zapadł do środka.

– To jest w ogóle niemożliwe! – wrzasnęła Chudziaczka nie do zniesienia cienkim głosem.

Ale jakie tam niemożliwe, jak przez megafon dyrektor osobiście potwierdza, zagłusza i wzywa do opuszczenia zakładów, wyliczając podpisane przez siebie z jednej, a Wąsatego z drugiej strony korzystne osiągnięcia, jak chociażby podwyżka 1500 albo przywrócenie Okularnicy, a nawet poświadczenie glejtu dla każdego, kto strajkował w terminie od 14 do 16, że go nie wolno ani zwolnić z pracy, ani zamknąć, ani nawet pobić.

Akurat, myślę sobie, już to widzę, jak Wysoki Towarzysz to wypełnia, zwłaszcza względem mojej osoby. Ale dyrektor przytacza dalsze obietnice w bliskiej perspektywie. Tu już Chudziaczka jednym susem podsadza się na nyskę i przyciskając synka do siebie, cienko, aż dzwoni w uszach, przekrzykuje megafon, daje wyraz wzburzonym uczuciom:

– Ludzie, tak nie wolno! To jest zdrada.

– Tak jest – hałasuje jeden tłum.

– Koniec strajku! – krzyczy drugi.

Jezus Maria, co się dzieje. Przy tym wszystkim gromady stoczniowców pomykają przez wartownię do domu, nie zwracając uwagi na żadne gwizdy ani nic. Chudziaczka łamie ręce, łzy jej lecą. Większy z tych dwóch z „Komuny" rozrywa koszulę i mało nie wyskakując ze skóry, ze strasznym krzykiem prosi o zmiłowanie:

– Jak nas ludzie odstąpicie, wygniotą nas jak pluskwy. Myśmy was poparli!

Ale oni ze wstydem albo i bez odstępują. Cienki strumyk dalej wypływa. Jednak reszta nadal w stoczni. Po drugiej stronie bramy kotłuje się i waha w sobie. Dać nogę czy przyjąć ofiarę. Któryś wrzasnął: – Swoje wywalczyliśmy, chcemy do domu! – A Chudziaczka od nowa: – Tak nie wolno! Całe Trójmiasto strajkuje! Za nami Elbląg stanął. Oni wam wierzą! Wydajecie ich na zatracenie. – I na oczach wszystkich zalała się dużymi łzami, a za nią z miejsca synek brygadzisty. Przez chwilę uczyniła się gorzka cisza, bo już na szalę wysokie słowa i uczucia zostały rzucone, którą bez wahania zakłócił dyrektor, od nowa powtarzając komunikat. No to, myślę, już będzie po wszystkim. Na marne całe gadanie. I sam już nie wiem, czy się martwić, czy co. Ale teraz po drugiej stronie zasadnicze i potężne poruszenie. Nad bramą stoi Wąsaty, jakby nieswój, ale krzyczy:

– Ja się dwa razy pytałem, czy kto nie będzie miał żalu. Nikt nie miał, to podpisałem. Ale teraz, jak tak, pytam się po ludzku: Chcecie dalej strajkować?

– Tak! – ryknęli ludzie po tamtej stronie jednym głosem.

– A kto nie chce strajkować?

Cisza jak makiem posiał.

– W takim razie sprawa prosta. Osiągnęliśmy swoje, ale zakładamy strajk solidarnościowy. Zamknąć bramę! Ja wyjdę ostatni!

Tu już rzuciliśmy się sobie w ramiona, ściskali i miękli w oczach i o ile megafon wzywał do czego innego, to ludzie krzyczeli, czy wiwatowali całkiem co innego. Między innymi: – Wyłączyć dyrektora! – Słoniu skoczył do przodu, podparł ostatecznie bramę, a Wąsaty krzyczy w górze:

– Na razie, żebyśmy się zjednoczyli, zaśpiewajmy razem. – I rozpoczął „Jeszcze Polska".

Tu już żeśmy się wszyscy ludzie przyłączyli, aż nam dech zatykało, kołowało się w głowie, w gardle chrypialo od łez, takżeśmy śpiewali namiętnie i nieprzerwanie, uszczęśliwieni, ze szczerym pragnieniem poprawy świata w ogóle i socjalizmu w szczególności. A słońce, jakby w porozumieniu z nami, wyszło spoza chmur i grzało na nas całą parą.

Nawet nie mogłem przypuszczać, że to jest taka silna pieśń. Dopieroż ogarnął mnie straszny żal, że półtoraroczniak w ogóle tego nigdy nie zaśpiewa. Bo co dopiero, jeżeli obywatele z całą pewnością pochodzenia zagranicznego, co można było rozpoznać po barwnym ubiorze i podłużnym uformowaniu twarzy przez naturę, którzy kręcili to z kamery, stojąc na dachu, płakali pomimo wieku i doświadczenia kobiecymi łzami, aż im się aparatura w rękach trzęsła.

Dookoła została z miejsca rozpisana wśród okrzyków kobiet „Niech Bóg ma was w opiece!" albo „Strajkujcie, my się zajmiemy dziećmi" i ogólnego zapału namiętna zbiórka pieniędzy w grubych setkach, a nawet pięćsetkach, nie mówiąc o bilonie. Jeden za drugim głęboko poruszony otwierał portfel albo portmonetkę czy torebkę i sypał. Obcy dla siebie ludzie, nawet nie sąsiedzi, klepiąc się po plecach jak bracia, wytrząsali do podszewki na podparcie sprawiedliwego strajku narodu. Jednym słowem działy się rzeczy niemające w ogóle związku z komunikatem nadawanym przez dyrektora, że coś jest zakończone.

Dopiero w środku zobaczyłem, jak się rzeczy mają, czyli że tłumy wyszły i zrobiło się odczuwalnie pusto. Brygadzista Jurek tulił się do synka, ale zaraz poszedł na naradę, która toczyła się bez jednej przerwy. A on sam wszedł od razu do powołanej najwyższej prezydialnej władzy Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Na naszych oczach toczyła się przepychanka o radiowęzeł, którego dyrektor nie chciał udostępnić, a następnie go w ogóle odłączył.

I tu już widzę w dużym kółku stoi Misiak, wygraża pięścią, żeby tak przysunąć w partyjną klikę zmowną, żeby się nie pozbierała. Do tej pory obchodziłem go, dopóki mogłem, wystrzegałem, jak wyrzutu sumienia, który mógł mnie w jedną chwilę zapodać, ale za późno, bo już skrzyżował rozżarzone do białości oczy z moimi, tak że skamieniałem, głowa mi opadła, a kiedy ją podniosłem, obawiając się najgorszego, Misiak mrugnął całą twarzą, klepnął mnie po funkcyjnej opasce na ramieniu, cmoknął z uznaniem i zagwizdał. Całe moje ciało odetchnęło z ulgi i wdzięczności, bo Misiak całkiem wyraźnie w ogóle nie miał mi zamiaru wymierzać sprawiedliwości.

Pod sam wieczór, kiedy patrzyłem się w wodę, w której gwiazdy odbijały się całym żyrandolem, oddając się myślom i wspomnieniom, znowu przyłączył się Czarniawy. Z początku nawet ucieszyłem się, że nie wyszedł z innymi, ale jak tak stał i wbijał we mnie dziwny wzrok, od nowa poczułem się nieswojo. Na szczęście po pewnym czasie przemówił:

– Co byś powiedział, jakbyś usłyszał, że jestem w połowie pochodzenia żydowskiego.

Stoję, słucham, co będzie dalej. Akurat niedaleko ktoś kręcił radio, wyłapując komunikat o treści, że w związku z licznymi zapytaniami informujemy, że uczestnicy strajku, którzy nie naruszyli obowiązującego prawa w PRL, nie poniosą kary za udział w strajku. Po czym kobieta zaśpiewała melodię z dalekiej Francji, natomiast Czarniawy zapytał, że ciekawe, co bym sobie pomyślał, gdyby się okazało, że on jest na przykład w 100 procentach pochodzenia żydowskiego. Odpowiedziałem, że bardzo w to wątpię, żeby tak mogło być, bo wiem na pewno od Wysokiego

Towarzysza, że wymienieni ludzie albo rozjeżdżają się mercedesami i kierują państwem dla własnej korzyści, albo, z drugiej strony, z głębokiego ukrycia jątrzą i podżegają do najgorszego, starając się dla własnej korzyści to państwo obalić.

Ucieszył się, pokiwał głową i powiedział:

– Tak czy inaczej, niezależnie od tego, jak sprawy się potoczą, ja pod tą szerokością geograficzną nie mam żadnej szansy.

Odpowiedziałem, że nie rozumiem w ogóle, o co chodzi. Na co zapytał, czy może mi coś niecoś o sobie opowiedzieć. Ale akurat podniósł się hałas i nowe okrzyki z powodu przekroczenia bramy przez delegacje przyłączających się w ostatniej chwili do strajku zakładów. Dyrektor nadał od razu w odpowiedzi kolejny komunikat przypominający, że nie rozumie, ale teraz jego z prądu odłączyli. Następnie Mały przywołał mnie do pomocy przy rozdziale artykułów żywnościowych nadesłanych do stoczni w podarunku. Składowaliśmy i sortowaliśmy mleko, ogórki, kiełbasę, sery w różnych smakach, a nawet pasztet czy cielęcinę w kawałkach i już, co jak co, ale że z głodu nie przymrzemy, było pewne. Bo na czarną godzinę zostawały statki obce i nasze świecące po nocy grubymi dziesiątkami na redzie zapchane po brzegi. I tylko smutek mnie ściskał na wspomnienie wygłodniałej rodziny, jakie by tu miała wyżywienie.

Pod wieczór z budynku BHP było się trudno wydostać – przepychał się cały tłum z powodu rozdawania świętych obrazków czy medalików, a nawet pisma „Robotnik" czy naszych własnych ulotek o charakterze wewnętrznym. W tym osobiście pomagał młody fachowiec, przybyły prosto z Warszawy w przebraniu przed MO za kobietę. O tym i innym dowiedziałem się pod wieczór przy rozpalonym ognisku, gdzie Mały osobiście poinformował, że tak samo kiedyś towarzysz Dzierżyński uciekał z Syberii, niestety w przebraniu kupca, za co zresztą potem przepraszał towarzyszy z całej siły.

Mały pobrząkiwał na gitarze, posiedział, odczytał poukładane na okoliczność strajku w jedną chwilę wiersze, niektóre piękne, aż za gardło ściskały. Późno w noc podkładano drewienka i gazety, a nieduży w berecie

się przysięgał, że osobiście poznał jednego poetę wielkomiejskiego, który zresztą z wierzchu wyglądał tak jak każdy, może tylko trochę lepiej ubrany – widocznie w środku coś w nim siedziało.

Od księżyca szedł mętny odblask, pod bramą zbijano fachowo ołtarz na jutro, a z powodu że tyle ludzi wyszło, w czasie tej nocy wyspałem się elegancko i pod dachem, na zestawionych stołach w zupełnym cieple. Tak że z samego rana, kiedy samochodem fiat polski wjechali księża, rozstawili krzesełka za bagażnikiem i przystąpili do spowiadania tłumu, a następnie do samej mszy, wziąłem udział w uroczystości i wypoczęty, i wymyty. Zresztą po obu stronach bramy ludzie zatopili się w modlitwie, w tym gromady, które wczoraj wyszły, a teraz patrzyły koso, wierciły, co będzie, i kombinowały, wejść czy, przeciwnie, wrócić, czy pozostać na słoneczku i swobodzie?

Widząc to wszystko i szczere wzruszenie ludzkie, które chcąc nie chcąc i mnie ogarniało, powziąłem nawet pomysł od razu z miejsca przystąpić do spowiedzi, odrabiając lata, kiedy z przyczyny wspomnianej niechęci ojca popartej rozkazem byłem od niej odsunięty. Tyle że nie pamiętałem szczegółowo, jak się zaczyna mówić księdzu, po drugie, wydało mi się po prostu śmieszne, żebym opowiedział o napuszczeniu wody w takich podniosłych okolicznościach, i po namyśle zdecydowałem przełożyć to na inny raz. Tak czy inaczej, klęczałem z innymi, wszyscy wzruszeni polecaliśmy się w opiekę i oddawali pod obronę. Aż gdzieś chyba raczej pod koniec mszy, w mlecznym niebie leżącym nisko na kominach okrętów, coś z daleka zawarczało. Podniosłem głowę. Przez chmury nic nie widać, ale warczy, huczy coraz głośniej – jednym słowem nie ma co, tylko – Boże, miej nas w opiece – nadlatują. Jezus, Maria. Do tego chyba cieszące się niedobrą sławą helikoptery.

Z jednej strony wstyd, że mnie okropny strach z ogólnej modlitwy wyłącza, zaciskam zęby i z całej siły się w niej zatapiam, z drugiej, zerknąłem na bok, widzę, że tak jak ja ludzie z jednej strony się modlą, rozpalają ogień wiary, z innej jednak łypią do góry. Boże, przebacz. Coraz więcej głów zadartych do tego stopnia, że modlitwa słabnie. No i masz!

Sam ksiądz głowę podnosi, bo już w niebie huk, ryk, warkot taki silny, że ich chyba i dużo leci, i nisko, że bardziej nie można. Ktoś jeden złapał mnie od tyłu za rękę jak szczypcami i jęczy cichutko: – Boże, oczyść nas z win!, drugi wielki, z łapami jak cepy, ostrzyżony, klęczy obok, otworzył usta i żegna się raz po raz. Boże, dopomóż. Cisza zrobiła się taka na ziemi, że ani, ani. Za to niebo pęka. Zamknąłem oczy, bo co mi to pomoże, opuściłem głowę, a one już nad nami. Słyszę, że się któryś szeptem spytał: – Czy to nasze? – i pomimo mszy brzydko się wysłowił. Wielki ryknął na niego, że nieszczęście sprowadzi. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata… Ale jakby ciszej… Tak jest. Wszystko dobrze. Bóg dopomógł czy co? Jednym słowem warkot mniejszy, znaczy ni mniej, ni więcej, tylko sobie odlatują. Dopiero teraz otworzyłem oczy – rzeczywiście, trzy albo cztery ostatnie giną w niebiosach. Dopiero poczułem ból nie do wytrzymania. Wyrwałem się z ręką młodemu chłopakowi, który cały czerwony wziął się do przepraszania, a przez cały nasz tłum poszło jedno westchnienie. I z miejsca wszyscy orientujemy się na księdza i przyłączamy do uroczystej modlitwy, a dusze nasze zapomniały o wszystkich troskach pomimo tego, że z daleka poleciały na nas białe kartki, wytrząśnięte z góry w formie ulotek z informacją o określonych siłach, które wykorzystują nasze ostre zaślepienie, żeby wyładować swoją oszczerczą nienawiść, wyrwać nas z naszego bloku, podważyć podwaliny, spowodować natychmiastowe nieszczęście, i nawołujące do natychmiastowego zakończenia strajku.

Zaraz potem dyrektor przed budynkiem BHP na nowo tłumaczył, że to wcale nie my chcemy strajkować, tylko mętna piana i dwulicowcy, i wiadome siły, którym nie w smak socjalizm. Zapytałem się Czarniawego, które to są wiadome siły. Odpowiedział, że to zależy i może wypaść na każdego, także samo na nas dwóch, ale raczej na niego samego, więc żebym się nie martwił. Natomiast Jurek zauważył publicznie, że nam socjalizm jest w smak i jest jako taki nadzwyczaj piękną ideą, o ile rzeczywiście występuje w obronie uciśnionych i ukrzywdzonych. Popatrzyłem się na Czarniawego, który sprawiał wrażenie rozgarniętego, ale on jedynie uchylał się przed fotografami, a następnie pokręcił głową, że

są to w ogóle sprawy ciężkie. Jego ojciec na przykład we Lwowie był krawcem, nastawionym socjalistycznie do granic wytrzymałości i jako kompletny lewicowiec witał w 39 roku wyzwolicielską armię, wymachując własnoręcznie uszytą czerwoną flagą. Cieszył się u nowej władzy szacunkiem i zaufaniem, wyglądało, że wygrał los na loterii oraz złapał Boga za nogi, a tymczasem zły los pukał już do drzwi, przyjmując postać dwóch mężczyzn po cywilnemu, obaj z uprzejmością nie z tego świata poprosili, aby zechciał się ubrać, zapakować i zasiąść w osobnym samochodzie, a potem w osobnym przedziale w pociągu. Ojciec opowiadał, że przez pierwsze lata nie zadawali mu w ogóle pytań, chyba że wypytywali go o Londyn, Saharę, jadł kaczkę z kawiorem i zapijał koniakiem, a zwłaszcza whisky, aż dopiero w jednej Wysokiej Centrali pokazano mu zdjęcie. Wtedy ojciec zrozumiał, co go zgubiło. Była to próżność, upodobanie do egzotyki i ostatnich wynalazków. Mianowicie przed laty udał się raz na jarmark, na którym niezwykłą popularnością cieszyło się kolorowe płótno – była na nim pustynia jak żywa, kołysały się palmy, czołgał jadowity wąż i rzucała cień piramida. Na pierwszym planie jechał sobie na wielbłądzie mężczyzna w tropikalnym mundurze i w kasku. Pod kaskiem była dziura na twarz, ojciec podmówiony przez fotografa, wsadził tam głowę. Tak powstało zdjęcie, które następnie wpadło w ręce zazdrosnego o ojca z przyczyn kobiety pracownika fryzjerstwa – ten doręczył je od razu, otrzymując zresztą wysokie uznanie za ujawnienie zakonspirowanego agenta Scotlandu Yardu.

Ucieszyłem się, że sprawa została wyjaśniona jako kompletne nieporozumienie. Zgodził się ze mną, ale wyznał, że niestety potem ojcu pogorszyła się sytuacja, ponieważ został przesunięty do prac fizycznych w trudnych niekiedy warunkach za wprowadzenie władzy w błąd, a także w ramach rekompensaty za luksusowe wyżywienie w czasie, kiedy cały Leningrad głodował. Na szczęście w ostatniej chwili pojawiła się możliwość zaciągnięcia się do polskiej armii i ojciec przeszedł szlak i tak w sumie bardzo zadowolony, że nie trafił do Oświęcimia.

Odetchnąłem z ulgą, że już po kłopotach, ale Czarniawy wykrzywił twarz w gorzkim uśmiechu i pokręcił głową, że tak by się tylko wydawało. Ledwie ojciec związał się po powrocie trwałym węzłem z jego przyszłą matką, z uczuciem zajmującą się socjologią, a następnie handlem grzebieniami z plastiku, i począł go na metalowym łóżku pospiesznie, jakby wiedziony niedobrym przeczuciem, natychmiast został w ramach przegięcia na fali 1949 z początku wyrzucony z wojska, a dopiero potem zamknięty.

Zmartwiłem się takim nieszczęściem, ale mnie Czarniawy pocieszył, że na fali 1956 ojciec został natychmiast uwolniony i zrehabilitowany, a nawet mógł spokojnie przystąpić do handlu. Ojciec nie wiadomo dlaczego wyszedł jako bigot, przestawił interes matki na handel dewocjonaliami, odżyły w nim zamiłowania do egzotyki i zdecydowanie postanowił udać się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Spieszył się, jakby znowu coś przeczuwając, ale i tak osłabione zdrowie nie wytrzymało i jedynie matka w ramach jego ostatniej woli udała się tam już na stałe. Natomiast on zdał właśnie na studia i nie pojechał, ponieważ w ogóle nie odziedziczył zamiłowań do egzotyki, w zamian za co zakochał się momentalnie w starszej koleżance, która niestety miała upodobania, ale nie do niego, tylko do demokracji. Aż jednego razu kiedy w marcu 68 roku przyszedł z wizytą, zamiast niej powitali go panowie w błękitach, chyba dużo mniej uprzejmi od tych, którzy rozmawiali kiedyś z jego ojcem. Ale i tak po paru miesiącach wszystko się dobrze skończyło, jedynie że musiał opuścić uczelnię i rozpocząć służbę wojskową.

Tu przerwało mu nowe zamieszanie pod bramą i okrzyk Wąsatego z informacją, że jest nowa ulotka, z której wynika, że na terenie stoczni pozostał jedynie element kryminalny i KOR-owcy, a klasa robotnicza wyszła. To powiedziawszy, Wąsaty podprowadził wszystkich pod bramę i głośno zapytał:

– Czy jesteście elementem, czy nie? Czy jesteście określoną siłą, czy nie?

– Nie! – odkrzyknęliśmy zdecydowanym chórem.

Tymczasem delegatów przybywało, czyli że coraz więcej zakładów przystępowało do strajku, a sala BHP zapełniała się z godziny na godzinę.

Z toku narady wynikało, że ludzie są zdecydowani nie dać się dłużej rolować. Słoniu zapytał, czy to jest może jego wina, że Bóg stworzył mu ciężkie ciało i musi je wykarmić, a także czy ma on może inny żołądek niż pracownicy resortu, a mianowicie mniejszy? Oraz czy swoją przyszłą żonę ma wykarmić sianem? Ale tu od razu zakrzyczano go, że to nie jest żaden strajk mięsny ani kiełbasiany, że owszem, to też, ale najważniejsze jest co innego, co znalazło odbicie pod postacią 21 punktów, co do których wszyscy wiedzieli, że nie było mowy, żeby ustąpić.

Ja osobiście otrzymałem przydział do malowania z innymi haseł na murze. Akurat zakończyłem wyciągać białą farbę „Solidarność" i miałem mocno zaawansowaną „Wolność dla politycznych", przy czym Czarniawy bełtał mi w kuble, kiedy z kłębiącego się za plecami tłumu, z którego większość klepała mnie po plecach, psując harmonię liter, ktoś się ze mną uprzejmie przywitał. Rozpoznałem bez żadnych wątpliwości przystojnego mężczyznę o twarzy uczciwego senatora z seryjnego filmu *Pogoda dla bogaczy* i dobrotliwym uśmiechu, co to w dzień po napuszczeniu przeze mnie wody odwiedził Wysokiego Towarzysza i mało tego – traktował go nawet z góry jak Przełożony. Przeszły mnie ciarki, czy za jego plecami nie ukrywa się osobiście Wysoki Towarzysz albo czy nie krąży gdzieś w pobliżu na wilczych łapach.

Na razie jednak nic takiego nie widać, a tamten z uśmiechem zagaduje, mruga niby przyjaźnie, ale jakoś przeraźliwie, i sprawia wrażenie zaufania. Zadrżałem, czy nie nawiąże do wody, ale nie. Wypytuje tylko łagodnie, jak tam w środku, martwi się, że sytuacja złożona, przyznaje, że KOR to hasło ma bardzo piękne, ale – tu ściszył głos – moralnie to oni wszyscy uuu… – Ale trzeba przyznać – uzupełnił zaraz – były też przegięcia z naszej strony. Bo jakbyśmy tych ludzi nie wyrzucali z pracy, to oni by nie mieli teraz tego alibi, że nie mają z czego żyć. A jakbyśmy ich nie wsadzali, to oni by nie mieli takich podstaw do gadania o łamaniu praw człowieka. No ale znowu taka na przykład sprawa Kowalczyków, to ja znam ją dokładnie, bo wtedy pracowałem w Opolu i mogę powiedzieć ze spokojnym sumieniem, że był to czysty terroryzm. A teraz ten Wąsaty się domaga, żeby ich wypuścić.

To – skrzywił się – wiecie, aż serce boli, bo tam ludzie w ich ujęciu włożyli dużo pracy i zapału i teraz to wszystko ma iść na marne. Oczywiście – zastrzegał się – ja jestem za pełną liberalizacją i demokratyzacją – rozejrzał się i szepnął mi do ucha: – Przyznam wam się szczerze, uważam, że najlepiej, żeby służb specjalnych w ogóle nie było. Tyle że do tego, niestety, ale potrzebna jest dojrzałość. Ach, mój Boże – pokiwał głową – czy aby to społeczeństwo dorośnie kiedyś do liberalizacji? Mamy z takim trudem wywalczoną niepodległość, co oni z nią robią! No bo jak by nie brać, historia tego kraju to historia anarchii. A ciekaw jestem, czy wiecie – od nowa ściszył głos – że RFN-owskie łodzie podwodne stoją już żelaznym kordonem na morzu i tylko czekają.

Odruchowo skręciłem głowę do morza, ale on skrzywił się, że z tego miejsca nie zobaczę, a poza tym one stoją pod wodą. Czarniawy całkiem zgrabnie namalował wzdłuż „Wolność słowa", a on ciągnął dalej w ciężkim zamyśleniu:

– Oni tu wszyscy krzyczą o wolności, o demokracji. Ale czy wy osobiście poważnie myślicie, że to społeczeństwo chce wolności?

Zauważyłem, że chyba jednak na pewno tak. Na co pokazał w uśmiechu zęby jak u wilka i łagodnie pokręcił głową:

– To społeczeństwo to ono jest zapite, zdemoralizowane, niektórzy pokupili fiaty 126p. Oni już tęsknią, ale za władzą, albo zatęsknią lada godzina, bo oni muszą się kogoś bać, dopiero go będą szanować. Naszym leniwym i romantycznym robotnikom jest potrzebny autorytet. Ten Wąsaty – owszem, miły człowiek, ale go nie ma.

Czarniawy poprawiał rozlane „p" przy prawdzie, a on znowu pokiwał głową z uśmiechem przepojonym goryczą:

– Prawda. Wszyscy krzyczą teraz „Prawda", tyle że człowiek wcale niekoniecznie chce ją znać. Woli czytać kłamstwo i wiedzieć, że to jest kłamstwo. Ale goła prawda… to jest taka rzecz, którą strasznie trudno wytrzymać. Tak, tak – uśmiechnął się. – Oni – pokazał za bramę – nas teraz nienawidzą tak, jak siebie samych nienawidzą. My wypijemy kielich goryczy. W każdym człowieku tkwią złe strony, ale oni jeszcze do nas

zatęsknią, bo zatęsknią za porządkiem, a porządek to jest no… jak powietrze, nieodzowny element życia. Bo jakże inaczej? No, ale są jeszcze na szczęście w naszym kraju ludzie z autorytetem w społeczeństwie. Mądrzy, doświadczeni prawdziwi politycy i ofiarni patrioci, odsunięci przez obecną władzę, skrzywdzeni i poniżeni. Ale jeszcze zapłacze za nimi ziemia i ludzie. Oni wrócą, a wraz z nimi wróci nowa sprawiedliwość.

Tłum za nami szumiał, a on uścisnął mi rękę, pożyczył szczęścia i ściszając głos, zauważył, że oni się już na pewno wszyscy sami boją tego, co zrobili, i zagadnął wprost, czy ja się nie boję.

– Ja to może i tak – przyznałem się od razu – ale nie wszyscy. Ja to nie jestem żaden przykład. Bo chociażby Misiak się na pewno nie boi i jeszcze długo nie.

Popatrzył się na mnie długo, zanim powiedział:

– Misiak to jest wyjątek, on prawidłowo rzecz prowadzi. Ja mogę to powiedzieć jako jego przeciwnik polityczny. Jak go zobaczycie, powiedzcie: „Brawo, Misiak". Przed takim przeciwnikiem chylę czoła. Powiedzcie, że ja o nim myślę pomimo wszystkich różnic, jakie nas dzielą. No nic, nic. Na razie. Na pewno się jeszcze zobaczymy.

Tymczasem Czarniawy zabełtał w wiadrze, podlał farby i opowiada, że jak szybko odbył służbę wojskową, to w 1970 przed świętami przyjechał do rodziny, do Gdańska, gdzie go od razu bez wyjaśnienia powodów zdjęli z przystanku, przebadali do gruntu, karmiąc co drugi dzień, łeb zgolili i wypuścili z poniesioną krzywdą moralną i fizyczną.

Namalowałem zręcznie krzyż, pod którym puściliśmy wolne związki zawodowe. A Czarniawy oznajmił, że następnie zamelinował się potajemnie w Płocku, niestety, chociaż nie zadawał się z nikim, w 1976 został ujawniony, ogolony na głowie i zwolniony z pracy jako ilustracja i określona siła.

Następnie właśnie omawiana szeroko organizacja pod postacią KOR zaproponowała mu pomoc, z której absolutnie nie chciał skorzystać, czując, że to się jak najgorzej dla niego i dla niej zakończy.

I tak wylądował od nowa u rodziny w Gdańsku, która przyjęła go jak najbardziej niechętnie, bo nie miał wyglądu, ale on wyliczył sobie, metodą wojenną, że zawsze najbezpieczniej jest w leju, bo granat nigdy nie trafia dwa razy w to samo miejsce, i dlatego rozpoczął spokojnie i po cichu pracę w Stoczni Gdańskiej. Tu ogarnął go taki chichot, że musiałem po nim przerabiać całe „zawodowe".

Tymczasem za plecami Telewizja Polska zatrzymywała ludzi, zadając ciekawe pytania. Akurat kobiecina w półbutach na gołe nogi i powycieranej sukni, ściskając za ręce dwoje dzieciaków podobnych jak dwie krople wody, przyznała się, że przyszła odwiedzić męża.

– A co on takiego robi? – zaciekawiła się, przystojna, przyciężka jak potrzeba kobietka w ubraniu z szeleszczącej skóry i dobranych butach, która z mikrofonem w ręku szerzyła odpowiedzialność.

– A o – pokazała tamta – siedzi pod płotem.

– Czyli że nic nie robi?

– Jak to nic nie robi? Strajkuje – obraziła się kobiecina.

– Czy pani zdaniem – tamta dalej – naszą zadłużoną ojczyznę Polskę Ludową, która wykarmiła własnym mlekiem panią i pani dzieci, za co należy się jej od pani krew, stać na strajk w takich potwornych okolicznościach, o czym można przeczytać w każdej zagranicznej gazecie. – I najeżdża na nią z kamerą z jednej, a z mikrofonem z drugiej.

Ale tu już jeden mężczyzna o szerokich barach do przesady nie wytrzymał, wypchnął się naprzód, odplunął i powiedział, że o to rząd się trzeba zapytać, czy go stać na taki upór. My jesteśmy klasa robotnicza, czystej krwi proletariat, czyli w ustroju socjalistycznym rządzimy przez swoich przedstawicieli. I do czego to doszło? Nasi przedstawiciele wyklasowali się i zbuntowali przeciwko nam, nie chcą z nami prowadzić rozmów, a dookoła kłamstwo, cwaniactwo, złodziejstwo i cenzura.

Tamta zakołysała się w biodrach, zaszeleściła skórą i wyjaśniła z uśmiechem, że taki pesymizm wynika po prostu z braku wiedzy. Czy on na przykład nie wie, że cenzura jest głęboko zakorzeniona w tradycji

i kulturze polskiej. Na przykład takie zdanie: „Ugryź się w język albo wypluj to słowo".

– Ale panią to, widzę, dobrze przeszkolono. Nie szkoda pani takiego ciała do takiej roboty? – Odplunął, złapał wygiętego do przodu staruszka pod rękę, odplunął na nowo i warknął: – Idziemy, tato. Jeszcze nie daj Boże nas pokażą w telewizji, będzie wstyd przed całą Polską. A na przyszłość władza się powinna uczyć nie na błędach, tylko w szkole.

– A pan też jest tego zdania – z bliska najechała kamerą na staruszka – że wolno coś takiego robić? Przecież rok szkolny się przez to nie zaczął. Jak pan wytłumaczy to wszystko maluszkom, które miały po raz pierwszy w tym roku przekroczyć próg szkoły?

– Co to, to na pewno – zmartwił się staruszek. – Oni by już lepiej poszli do domu. No, ale nie mogą. Jak taki wyzysk, to muszą zostać.

Akurat wtedy nie wiadomo dlaczego Czarniawy jednym ruchem otrząsnął pędzel i powiedział prosto do kamery:

– To wszystko, co robicie, to jest wyjątkowe świństwo – i trzęsąc się ze złości, rzucił pędzlem do kubła.

Kiedy szliśmy z powrotem, przepychając się przez bramę całą w kwiatach, z portretem papieża i Matki Boskiej, nad którą się dumnie wznosiło hasło: „Proletariusze wszystkich zakładów łączcie się", doleciał nas cienki krzyk kobiety: „Ludzie, ratunku". Jak się wyjaśniło, podała przez kratę torbę z żywnością, a jej mąż porośnięty, nieogolony wyciągnął ze środka połówkę czystej i ze słowami: „Stara, nie mogę" wylewał ją prosto pod nogi, przy czym na czole wystąpiła mu czerwona plama. Ludzie albo się śmiali, albo milczeli jak zaklęci, ale ona jęczała:

– On zgłupiał. Ty nie wyżyjesz bez wódki! Ludzie, nie pozwólcie mu wylewać, to jest alkoholik!

Od razu w środku było oczywiste, że wszyscy pracownicy się wrócili, do tego masowo kręcili się dziennikarze zagraniczni, a nawet polscy, i parę setek delegatów. Zresztą, jak się okazało, komisja rządowa przyjechała. Tyle że nic nie dawała po sobie poznać, żeby chciała rozmawiać z naszym MKS-em. Natomiast, po pierwsze, zażądała odcięcia się całkowitego od

KOR-u, Ruchu Młodej Polski i innych określonych sił, na co Wąsaty zapowiedział, że o żadnym odcięciu nie ma mowy, ale był to stracony czas, bo tak czy tak poleciało przez radio, że się odciął. Na co on znowu zapowiedział, że od jutra dziennikarze codzienni nie mają prawa wstępu do stoczni. Ale jednak większość weszła. A komisja rządowa rozpoczęła, skradając się za naszymi plecami, rozmowę z pojedynczymi zakładami, zwłaszcza uderzyła do tych, co to były obrażone na Wąsatego, że przedtem bez porozumienia zakończył strajk. Czarniawy przyznał się, że ma jak najgorsze przeczucia, że się tak głupio dał sfotografować. Ja go pocieszałem ze wszystkich sił, tylko że akurat otrzymałem polecenie pomocy w transportowaniu kawy dla delegatów, do tego Kaszubi przywieźli kaszankę, mleko, słoninę, a od wartowni szły z brzękiem jedna za drugą skrzynki pękające od pieniędzy. Przerwałem pracę dopiero, kiedy z dużej sali dobiegły objawy pustej wesołości, które wywołał komunikat wieczornego dziennika, że na Wybrzeżu w niektórych zakładach powstały przerwy w pracy. Zaraz potem aż mnie podrzuciło, bo widzę na telewizorze kawałek mojego napisu, kubeł, moje rodzone plecy pod murem, natomiast w telewizji szybko pokazują szerokiego robotnika, który mówi z jawną pogróżką: – O co chodzi? Przecież rządzimy przez naszych przedstawicieli! – wytrzeszczyłem oczy. A tu staruszek, który wyglądał jeszcze bardziej wymęczony niż w życiu, zauważył, że już by lepiej poszli do domu, i już... Aż tu zmartwiałem, ni stąd, ni zowąd pojawiała się wykrzywiona złością na cały ekran twarz Czarniawego, który wykrzyknął, wbijając w nas dzikie oczy, płonące jak sztylety: – To wszystko, co robicie, to jest wyjątkowe świństwo!

Od razu po nim przystojny blondyn odczytał, zaglądając nam śmiało w twarz: – Nie dziwimy się tym surowym, ale sprawiedliwym słowom, adresowanym do prowodyrów strajku i kryjących się za plecami robotników określonych sił. Taka jest prawda. Mieszkańcy Wybrzeża są zmęczeni strajkami, z tego miejsca mówią ich organizatorom swoje robotnicze „nie". Żądając równocześnie: objawcie się, obnażcie wasze prawdziwe cele, których naród nie zna.

Tu już opanowała wszystkich na sali na zmianę wściekłość i wesołość. Podbiegłem do Jurka, wyjaśniłem to całe diabelstwo zdradzieckie, roześmiał się, żebym się nic nie martwił, że to wiadoma rzecz. Poleciałem się rozejrzeć, czy nie ma gdzie Czarniawego, żeby go objaśnić, pocieszyć po tych bzdurstwach, przeleciałem się raz po raz po kilku halach, ale jako że padało, ludzie się pochowali, spali, tłoczyli pod dachem, między szafami, na schodach ciało przy ciele i jeden człowiek to była zwyczajna szpilka. Jak się wróciłem na główną salę, to już delegaci na ogół wyciągali się na krzesłach albo nawet drzemali z zamkniętymi oczami. Młodzi fachowcy w podkoszulkach z trykotu białych z malowaną czerwoną Solidarnością przybijali napis: „Tutaj zgłaszać represje" albo dyktowali coś wymęczonym, wygiętym jak nie ludzie nad maszynami kobietom, tylko na całym ekranie, gdzie przed chwilą wyzywał Czarniawy, teraz świeciła się Najważniejsza Osoba i poruszała ustami bez skutku wyłączona w ogóle z dźwięku, a to z powodu, jak się dowiedziałem, rozczarowania po pierwszych słowach.

Z rana zakładów stało za nami już ze trzysta, a o pieniądzach na strajk albo pomnik lepiej już nie mówić – szły w setki, tysiące albo i w miliony. Wytrząsano je po całych dniach i nocach z worków, sortowano i naradzano się nad walutą wspierającą, przeważnie albo szwedzką koroną, albo wschodnią marką. Nieogoleni siedzieliśmy na deskach albo się zastanawiali. Z tym, żeśmy jednak coraz mniej mówili, a coraz byli bardziej do środka zawzięci. Albo łazili to tu, to tam.

Spod bramy skarżyli się, że podstawiono skrzynkę z wodą sodową zmieszaną po połowie z wódką i trzeba było wymienić straż, jak również, że wyszedł na jaw ciekawy pomysł porwania jednym rzutem prezydium MKS za pomocą desantu połączonego z gazem. Poza tym pomimo wszystkich przepustek kręciło się coraz więcej ludzi, a jak zrobiono zbiórkę brygadami, to się okazało, że jest cała jedna, co do której w ogóle nie wiedziano, gdzie by mogła pracować, nikt jej nie widział na oczy i wyprowadzono ją za bramę. Opowiedział mi to Czarniawy, ale jak się dowiedział o swoim wystąpieniu, od razu mu uśmiech przygasł, pogrążył

się w głębokim milczeniu, po czym zapowiedział bezwarunkową decyzję opuszczenia strajku, zanim go wyrzucą. Zaklinałem go na wszystko, że nikt nie ma do niego żalu, on tylko zwiesił głowę i kręcił ramionami, że to na nic, że oni tylko tak mówią, i polazł w stronę wody. A na placu uczyniła się cisza, bo przez głośniki podłączono podsłuch do radiowozów MO, które akurat meldowały, że dysponują zatrzymaną nyską z delegatami do strajku, ale zebrali się ludzie, żądają, żeby przepuścić, i oni nie wiedzą, czy iść na konflikt i konfrontację, czy przeciwnie, okazać szczerość intencji. Centrala poradziła w takiej sytuacji przepuścić, natomiast Wąsaty oświadczył przedstawicielowi MO, który zgłosił się po benzynę do radiowozów ze strajkującej solidarnie rafinerii, motywując to potrzebą ścigania elementu kryminalnego: – Jest was tylu, że wyłapiecie ich na piechotę.

Przez radio podawano o politycznych szkodach i gospodarczej ruinie, a nawet psujących się cytrynach w statkach na redzie. Natomiast z radia Spidola przenośnego, koło którego zbieraliśmy się w całe gromady, płynęły pocieszające wydarzenia czy fakty albo nawet opinie, od których rosły serca, o popieraniu naszej sprawy przez związkowców całego świata ze szczególnym uwzględnieniem dokerów USA, którzy odmówili w ogóle ładunku i rozładunku naszych statków, dopóki rząd nie ustąpi.

Tymczasem w sali BHP szło wystąpienie za wystąpieniem. Jeden mężczyzna prosty, cienki, o zmrużonych oczach w bladej twarzy, przemówił jako prawy i uczciwy obywatel, członek partii, ojciec, mąż i zastępca kierownika biura do spraw osobowych, poprosił uprzejmie korespondentów zachodnich, żeby skrzętnie notowali, i zaczął błagać najpokorniej towarzysza Edwarda Gierka o przybycie, gdyż tylko jego darzymy pełnym zaufaniem, ponieważ obok naszego papieża Jana Pawła II jest jedynym autorytetem, zdolnym wyprowadzić nasz kraj, a buntujemy się nie przeciwko niemu, partii czy ustrojowi, lecz sposobom realizacji i lakiernikom. Tu rozległy się oklaski, a on poczerwieniał ze szczęścia jak rak i zakończył, że: „Jesteśmy z wami, towarzyszu Gierek, bo macie mądrość i szacunek, i przeolbrzymie zasługi dla utrzymania pokoju na

świecie. Błagam, przybądźcie osobiście tutaj". A na zakończenie pozdrowił najserdeczniej wszystkich ludzi pracy na całym świecie – w Związku Radzieckim, obu Amerykach, Chinach i Australii. Na co wszyscy zaczęliśmy klaskać, tylko Okularnica posiniała i krzyczy, że tak się składa, że towarzysza Gierka o nic nie będziemy błagać, a ten, co przemawiał, szykanował ją osobiście i represjonował, i zaklina ludzi, żeby nie klaskali siłą bezwładu, bo tak się u nas klaszcze już 35 lat i można by przestać. Oraz że nawet wśród apostołów co dwunasty był Judasz. Zawstydzona sala odpowiedziała wrzaskiem, żeby pogonić szpicla, i kto wie, do czego by doszło, ale straż odprowadziła go pod osobistą eskortą za bramę. Od razu w tym momencie zgłosił się nowy, przyznał się od razu, że także jest w partii i czuje się jak Kmicic, za co go z miejsca chcieli wyrzucić, ale wszedł na krzesło, sięgnął ręką do krucyfiksu i publicznie się wyrzekł partii, potwierdzając to odręcznym podpisem. Ja ciągle nie natrafiłem na ślad Czarniawego, chociaż łaziłem tam i z powrotem, wypytywałem o niego wszystkich, a także Słonia, tłumacząc nieporozumienie, ale on musiał lecieć, ponieważ jego brat z branży kelnerskiej przyjechał z festiwalu piosenki, który po cichu odbywał się w Sopocie, w imieniu kobiet i mężczyzn lekkiego prowadzenia z branży cinkciarskiej, pracujących na pekiel, faszer, wajchę czy straszałkę, z uprzejmą prośbą, aby przepuszczono trzymanych na redzie marynarzy tych państw zachodnich, których związki popierają nasz strajk. Jako że ich załogi cierpią niewinnie, pozbawione elementarnych ludzkich praw do radości życia.

Potwierdziła się przez wszystkie megafony wiadomość z poprzedniego dnia, że komisja rządowa się przestawiła, co wzbudziło odruch nadziei, tyle tylko, że niestety dalej myk, myk, kluczy, mąci, zwodzi i prowadzi rozmowy branżowe za plecami.

Polskie Radio nadało komunikat, że pod wpływem takich rozmów załogi masowo występują z MKS-u. Okazało się to niestuprocentową prawdą, bo wprost przeciwnie – wstępowały nowe, a nawet w całym kraju zaczęło mocno poruszać, co potwierdziło przenośne radio Spidola produkcji ZSRR.

Natomiast co do przypuszczenia, że MKS rozbija jedność narodu, to Wąsaty zaproponował sprawdzenie tego przez komisję na miejscu, bo tu trzeba szukać prawdy, a nie w WRN. A co do tego, kto nas inspiruje, to odpowiedział, że nikt nas nie inspiruje, ale pomimo to i tak rozrzucono po mieście ulotki, że nas inspirują i że MKS nie chce gadać z komisją rządową, a kontrrewolucja maszeruje po władzę.

Co do mnie zostałem wywołany przez megafon po nazwisku, żebym zgłosił się do bramy nr 2. Najpierw serce zaczęło mi bić radośnie, bo ucieszyłem się, że być może moja kobietka poczuła skruchę, i rozpocząłem nawet bieg do bramy, doganiając innych wywołanych, przy czym poniektórzy znędzniali albo schudli poprawiali się po drodze, narzekając na nieogolenie, ale zaraz ścierpłem, czy to czasem nie Wysoki Towarzysz dał się odczuć mojej rodzinie. Podbiegłem, patrzę – rzeczywiście, przy samej bramie, gdzie ludzie całymi dniami odwiedzają się przez kraty, całują i podają żywność, przepycha się moja gromadka. Szybko obliczyłem, że w komplecie, mało tego. Ojciec jedzie sobie elegancko na wózku inwalidzkim, dwa duże, dwa małe koła, napędzanym ręcznie i w bardzo dobrym stanie, za nim matka, uczepieni do niej trzylatek i pięciolatek, i jakby było mało, osobiście rozpycha się dziadek. Patrzyłem się na nich skamieniały z radości. Aż dopiero synkowie z drugiej strony łapią mnie za nogi, krzycząc jak nigdy w życiu: „Tatko, tatko!". Przycisnąłem się do kraty i tutaj już ciężkie łzy puściły mi się do oczu, bo nawet ta sama matka, która mnie dopiero co przeklinała, teraz ściska rękami za głowę, gładzi po twarzy i wypytuje nieswoim głosem: – Jak ci się, synku, strajkuje? – Odpowiedziałem, że dzięki Bogu dobrze. – A wiesz ty – na to matka – że kotka zdechła? – Jak to tak zdechła? – A tak, trzy dni chodziła jak osowiała i zdechła.

Może z żalu za półtoraroczniakiem? – ścisnęło mnie w gardle, ale nic nie mówię.

A matka: – Mizerny jesteś, synku. Przynieśliśmy ci jedzenie. – I pcha pod kratę siatkę z przezroczystego plastiku. – Nie po to cię przecież urodziłam, żebyś się zamęczył czy zamorzył, tylko dla twojego dobra.

Ja na to, że po pierwsze, nie trzeba, wszystko tu mamy, a po drugie, dziwię się, że skąd do nich jedzenie i o co się tu rozchodzi.

– My teraz wszystko mamy – kiwa głową matka. – Dlatego bierz, synku, i nie żałuj sobie. Samopomoc sąsiedzka powstała. Wszystko mamy, marchew, kartofle, kapuchę, chleb…

– Marmolady nie ma – zrzędził z tyłu dziadek.

– Ale mówili, że ma być. Taki punkt powstał w drugim domu na trzecim piętrze, za blokiem, w którym mieszka ten, co nie strajkuje.

Podtoczyli ojca, wyciągnąłem do niego rękę na całą długość, jak tylko mogłem ją wysadzić za kratę, on tak samo wykręcił się na wózku ze wszystkich sił tak, że ostatnim końcem ręki poczułem jego dotyk, zawsze nagrzany od wewnętrznej gorączki reumatycznej. Wyglądał jeszcze bardziej zmarnowany. Zapytałem, czy go boli, pokręcił głową, chciał odpowiedzieć, ale łzy puściły mu się z oczu, z wysiłkiem zacisnął rękę w pięść i podniósł w górę, jakby wiedział, bo takim samym znakiem, jakiego tu wszyscy używali na znak wspólnoty, solidarności i walki, i nagle, zanim się zorientowałem, co i jak, przeżegnał mnie jednym ruchem, odkręcił głowę i cały zatrząsł się od płaczu. Za nim matka od nowa przytuliła się do mnie z zapłakaną twarzą. – Przebaczysz, synku, gorzkie słowa? Sąsiedzi wózek ojcu pożyczyli. Już teraz nie zginiemy, bo nam ludzie nie dadzą. Są dla nas dobrzy, a ty sobie strajkuj spokojnie.

– Jeden z mleczarni nam nawet mleko podrzuca – zawołał pięciolatek i też zaryczał, a za nim do wtóru trzylatek nie wiadomo po co. I w ogóle nie chciało mi się od nich odchodzić, ale już zaczęli się żegnać, bo na pieszo czekała ich długa droga z pchaniem ojca, a upał od rana znęcał się nad ludźmi. Ucałowałem synków, którzy nie mogli oderwać ode mnie rączek mocnych, chociaż cieniutkich jak witki, i zamglonym okiem patrzyłem, jak wlekli się przez tłum, i dopiero kiedy nic nie było widać, obtarłem oczy, ruszyłem się spod bramy. I akurat rozległa się następnie wiadomość, potwierdzona osobiście przez przybyłego od tyłu bramą nr 1 wojewodę, po której ludzie po obu stronach bramy klepali się, bo ni mniej, ni więcej, tylko komisja rządowa z nowym wicepremierem na czele przestała mamić,

kluczyć, zwodzić za plecami, tylko zapowiedziała się na dzisiaj do stoczni. Prawdę mówiąc, starsi i najbardziej doświadczeni w ogóle nie brali tej obietnicy pod uwagę, tylko się wykrzywiali i kręcili głową, bo gdzie i kto kiedy widział, żeby u nas władza przyjechała ustępować do robotników, a jeżeli już, to z dobrą intencją. To na pewno jakiś podstęp i jad w tym musi być albo co jeszcze gorszego, tylko się martwili, żeby w porę to najgorsze się wykryło.

Tak czy inaczej, rozpoczęła się z szerokim rozmachem organizacja służby porządkowej, w czym brałem udział, połączona z apelami do ludności po drugiej stronie. Ludzie rozstawili się w ogromny tłum, chłop przy chłopie, wyżsi albo z bystrzejszym okiem z tyłu, w środku pusto, tylko telewizja z całego świata, brzęcząc aparaturą, naradzają się chyba, z czego, jako że nie jestem człowiek międzynarodowy, nie rozumiałem ani słowa. Ludzie stoją w rzędach grubymi tysiącami aż do samej sali BHP, pod bramą też się kotłuje, ale już w sam środek jedzie autokar z całą komisją. Ledwie, ledwie przebił się do bramy, wjechał do środka, bramę za nim zamknęli, i stanął. Komisja siedzi w środku, wygląda przez okna na robotników, robotnicy patrzą na komisję, śmiertelna cisza, tylko aparatura warczy. Komisja patrzyła sztywno, jakby w ogóle się wahała, czy wysiąść, i już po ludziach poszły szumy, kiedy z sykiem otworzyły się drzwi i ciężar, który ugniatał i dławił, spadł z serca, bo delegacja z miejsca wzięła się do wysiadania. Wszyscy wyglądali jak jeden: ubrani z igły, na czarno, tak samo czarne teczki pod pachą, dobrane buty, białe koszule i kontrastowe krawaty. Na myślących, opuszczonych do dołu twarzach miał każdy, od pierwszego do ostatniego, wyraz i troski, i powagi. Po przywitaniu Wąsatego przeszli, prowadzeni przez pierwszorzędną chmurę z wody kwiatowej, te kilkaset metrów do budynku w szpalerze ludzi, którzy milczeli, jakby byli zabici, tylko wbijali w nich oczy aż do nasycenia.

Dopiero na znak całym tłumem pobiegliśmy za nimi jak najbliżej miejsca, gdzie powstawał specjalnie dla nas pozbawiony cech naigrywania i ucisku system socjalistyczny. Z samego posiedzenia można było zrozumieć, o co się w ogóle rozchodzi, ale o tyle, o ile, chociaż było szeroko

transmitowane przez megafony. Bo o ile nasza strona chciała na pewno za wszelką cenę i poza dyskusją całkowicie nowych związków, to tamta całkowicie się zgadzała, że trzeba zreformować stare. O ile nasza od nowa podkreślała z naciskiem, że związki muszą być całkowicie nowe, o tyle komisja przyznawała w 100 procentach rację, że reorganizacja starych musi być daleko posunięta. Na dodatek nie zgodzili się na podstawowy odblok telefonów i w takiej sytuacji nasza strona honorowo przerwała obrady. My pod głośnikiem patrzyliśmy na siebie, czy kto coś rozumie, niektórzy brali się do gwizdów, ale zaraz ich uciszono, że jak coś ma 35 lat, to się nie da w 40 minut przestawić.

Od nowa ustawiono szpaler i komisja w ciasnej grupie odmierzonym krokiem powróciła do autokaru. Najstarsi cieszyli się, że wszystko lipa, że wyszło na ich, i ludzie rozchodzili się spod bramy, natomiast ogromny tłum pchał się do telewizora drzwiami i wisiał w oknach. Nikt się nie śmiał ani nie gwizdał, czyli że nie był to dziennik, tylko film, chociaż główny bohater – mężczyzna z ogólnej elegancji i rozumnej twarzy był podobny do Przełożonego Wysokiego Towarzysza. Pod sam koniec on osobiście, ponieważ miało to miejsce w Ameryce rządzonej przez rekiny, wymierzył z rewolweru do zwykłego wynajętego przeciw sobie zbója i tytułując go Falconetti, z palcem na cynglu waha się i waha, chociaż tamten zabił mu brata. Tutaj już cała sala krzyczy: „Strzelaj, strzelaj do skurwego syna! On by cię nie oszczędził!", i zaraz jęczy z żalu, kiedy tamten opuszcza rękę i odwraca się z całkowitą pogardą. A zbój, jak to zbój, przydepnął gumowego węża, trysnął w niego wodą i za rewolwer! Tego już bohater nie przetrzymał, odwrócił się, wystrzelił w niego ze smutkiem i wychodzi z piwnicy. Przeważająca większość krzyknęła z radości, ale bandzior, wcale nie dobity, dosięgnął do rewolweru i wygarnął naszemu prosto w plecy. Ludzie rozchodzili się zmartwieni, kręcąc głowami, a Słoń nawet głośno wypowiedział: – Tak jest. Z gangsterami to trzeba do końca, żadnej litości.

Natomiast prezydium skupiło się na naradzie z przybyłymi z Polski specjalnie do bezinteresownej pomocy dla nas utytułowanymi ludźmi nauki, podczas gdy ja pomimo nocy ciemnej łaziłem to tu, to tam,

podniecony wydarzeniami i chociaż znalazłem kąt do spania bardzo wygodny w szatni na szafkach i tylko do spółki z trzema, że mogłem wygodnie i głowę przytulić, i nogę wyciągnąć, zamiast zasnąć, dziwiłem się, jak się moje życie w nowym kierunku układa. Polazłem z powrotem do ogniska, gdzie Mały, dokładając drewek, mruga, że premierowa na pewno lepszym drzewem pali. Przebierają jej, podsuwają same wysuszone i bez sęków. Dalej podsłuchałem, jak śpiewają własną piosenkę od słów:

Szare, smutne są sierpniowe dni,
Nawet morze nie tak pięknie lśni

na popularną melodię „Wróć, Jasieńku". I od nowa polazłem do szatni. Wierciłem się w kółko na szafkach, ponieważ nie pracując w bezsenne dni, miałem o wiele za dużo niepotrzebnej siły, której nie miałem jak zużytkować.

Po uroczystej mszy Wąsaty poinformował zebranych tysiącami pod bramą, że oczekujemy na przyjazd komisji, która się przestawia, a MKS też się naradza z ekspertami, którzy nam pomagają, bo do tego trzeba ludzi mądrzejszych od nas, i osobiście zwrócił się do tłumu z prośbą, że jak będzie komisja przejeżdżać autobusem, to żeby w nich nie pukać, bo się czują jak kot w beczce, a jak człowiek przestraszony, to i gorzej się z nim mówi. No bo owszem, jak trzeba, można i pięścią w stół przygrzać, ale można też sympatycznie porozmawiać. Uzupełnił jeszcze, że jeść mamy co, pieniążki mamy już zebrane w sumie miliona, no a z rządem jest ciut lepiej, ale nie do końca. Następnie eksperci z Warszawy zamknęli się z prezydium, w radio szły piosenki nagrodzone w Sopocie *Ile prawdy, tyle kłamstw* albo *Tydzień łez* na zmianę z żądaniami, aby odkryć karty naszej strony, opowiedzieć, kim są naprawdę ludzie stojący za strajkiem, a także kto w dalszej kolejności stoi za nami. Ponieważ nasza strona postawiła komisji jako podstawowe żądanie odblok połączeń i pomimo zgłoszonej publicznie i podanej do szerokiej wiadomości dobrej woli komisji telefony nie łączyły – przegłosowano nie prowadzić rozmów do oporu. Także następnego dnia nie było ich w ogóle.

Jeżeli chodzi o ludzi, tośmy wyglądali na oko wymęczeni, trochę zapadli i zobojętniali na wszystko. Ani żeśmy się nie martwili, ani nie cieszyli, tylko patrzyli w niebo. Cożeśmy zasnęli, tożeśmy się budzili, co przysiedli, to zaraz łazili po terenie. Tak kołując z innymi, wypatrzyłem Misiaka. Siedział sobie nad kanałem i tak jak inni to patrzył się w wodę, to przeglądał sobie na boku jakieś papiery i na pewno rozmyślał. Pomyślałem, że, tak czy inaczej, lepszej chwili nie znajdę. Bo już od dawna nie dawało mi spokoju, żeby się przed nim do wszystkiego przyznać i to całościowo, do napuszczenia, o którym on albo i coś wyniuchał, albo i nie, w każdym wypadku słowem nie pisnął. O tym, jak pod nim ryłem, grzeszyłem, donosiłem okrężną drogą jak kret, o tym, jak i dlaczego zeznałem przeciw Okularnicy, gwałcąc oczywistą prawdę, i że to wszystko mu mówię jak komu bliskiemu oraz człowiekowi, który nie boi się nikogo czy niczego i jest gotów nie żałować ani własnego życia, ani nawet cudzego. Jednym słowem, tak czy inaczej, podszedłem i wypowiedziałem to wszystko. Jeżeli chodzi o Misiaka, to najpierw się uśmiechnął, ale zaraz zaczął rzucać oczami to tu, to tam, a dopiero potem wbił je prosto we mnie, nie drgając w ogóle powiekami, a jego przybrana zmarszczkami twarz pod opadniętym włosem wyglądała jak dumna głowa tygrysa z mojego wozu. Kiedy się przyznałem, że dłużej tak nie mogę, bo chcę być znowu człowiekiem pełnosprawnym, przeprosił, że przerywa, i nawiązał okrężnie: Czy przyszedłem z własnej inicjatywy, czy też przeciwnie, ktoś mnie nadesłał?

Otworzyłem szeroko oczy, bo niby kto?

– Ano właśnie – nacelował spojrzenie – o to chodzi kto.

Nie czując, o co chodzi w ogóle, zakląłem się na pamięć, że przyszedłem i sam, i z własnej nieprzymuszonej woli. Wykrzywił na to lewą stronę twarzy, wydymając policzek z równoczesnym przymrużeniem oka.

– No powiedzmy. Ale jeżeli tak, to o co się właściwie rozchodzi?

– Jak to: o co się rozchodzi? O winę się rozchodzi – powiedziałem, dziękując raz jeszcze, że nie powiedział o wodzie.

– Nie mówiłem, bo nie było potrzeby mówić – machnął ręką. – A skąd wiedziałem? Ze źródła. – Roześmiał się, posmutniał, popatrzył się na mnie z zamyśleniem, cmoknął, przymrużył drugie oko, od nowa się roześmiał i przycichł w sobie powoli. – No, ale nic. To ładnie, żeście przyszli z tym do mnie, to ładnie… Czyli znaczy, żeście się zmienili. Ja wiem, jak to jest ciężko rozstać się z poglądami, ale jak trzeba… Tak to często bywa z ludźmi, że się zmieniają. Grzeszą, grzeszą, a potem widzą nagle, że nie tak żyli. Nie ta kombinacja.

Wieczór spływał na nas powoli, a w tym samym czasie wschodził zamglony księżyc.

– A może – zauważył nagle Misiak – tak rzeczywiście byłoby lepiej. – I w jednej chwili zamyślił się na długo, jakby był w ogóle nieobecny. Nagle wstrząsnął się i rozłożył ręce. – Tak, tak, człowiek to jest igraszka i przelotny pielgrzym, nic innego. Ale nic. Chcecie tak, niech będzie tak. To ładnie, żeście się tak zmienili. I ludzie to lubią. No, chociaż może nie wszędzie. Nic, nic. Idzie noc, przyniesie pociechę naszym smutkom. Ale – podniósł się – na mnie już czas. Wspólne nasze obowiązki mnie wzywają.

– Czyli znaczy się, że jak? – zapytałem. – Bo jeżeli trzeba, to ja stanę na prezydium i wszystko z siebie wypowiem. Czyli jak? Czy mam wszystko odpuszczone albo czy nie? – Złapałem go za rękaw.

Akurat gęsta mgła podchodziła znad kanału i Misiak zamazywał mi się w oczach. Jednak podniósł rękę do góry, trzęsąc się przy tym ciekawie.

– Jeżeli o to chodzi – uzupełnił nieswoim chyba ze wzruszenia głosem – to prezydium niepotrzebne, z duszy serca jak bratu odpuszczam.

Skłoniłem mu się z wdzięcznością, ale znikł już w szarym wyplamionym waciaku, a ciężar pierwszoplanowych zadań, od których ani mgła, ani zapadające ciemności nie dawały wytchnienia, przygarbiał do ziemi jego osobę.

Dopiero po upływie długiej chwili uprzytomniłem sobie, że nie przekazałem mu dowodu uznania pod postacią słów Przełożonego Wysokiego Towarzysza. W sumie uradowany, rozglądając się za nim, polazłem pod stołówkę, gdzie akurat zawieszali gazety ze zdjęciami nowej

władzy po niedzielnej wymianie. Trochę ludzi rozpytywało się, co i jak, ale nie za bardzo. Poniektórzy zauważali, że zawsze lepiej niż gorzej, inni, że ich osobiście przestawienia ani nawet wymiany twarzy w ogóle nie interesują w przeciwieństwie do wolnych związków.

Tak przemijał nowy upływ czasu – aż doszło do nas gwizdanie na potęgę, przeplatane ze śmiechem, czyli że zaczynała się wiadomość z dziennika, gdzie zasmucony mężczyzna doradzał, żeby się spojrzeć na mapę, i przestrzegał, że jak się nie uspokoimy, zrobią z nami wiek osiemnasty albo jeszcze gorzej. Jednak na ogólny wniosek zaraz wyłączono go z głosu.

Akurat pod bramę zajechała nasza rodzona Polska Kronika Filmowa z zamierzeniem wjazdu dla dobra ogólnokrajowej informacji. Wąsaty po pierwsze, odpowiedział, że ich nie wpuści. Zresztą tylko i wyłącznie z przyczyny pełnego braku zaufania, po drugie, zdziwił się, że ich tu jeszcze przysłali na pomoc, bo już o nas telewizja i gazety kłamią i obrażają dosyć. Ale mężczyzna z Kroniki w ogóle się nie obraził, tylko zauważył, że jak tu się mówi o demokracji, to niech większość się wypowie. Wąsaty odwrócił się do ludzi: – Czy chcecie wpuścić PKF? – Nie – wykrzyknęli wszyscy pod bramą – nie chcemy jej wpuścić. – A Słoniu uzupełnił osobiście: – My jej dokładnie tak samo chcemy, jak chcemy dostać… – tu wymienił nazwę choroby tylko dla dorosłych. Mężczyzna z Kroniki zarumienił się jak dziecko, ale pyta, czy może się zwrócić osobiście do robotników. Wąsaty, że czemu nie. A tamten nadął się jeszcze mocniej, poczerwieniał jak malina i przemówił przez tubę, że co by nie powiedzieć, tak czy inaczej, chcąc nie chcąc, tutaj się teraz dzieje historia, w której to sytuacji nie może się wydarzyć, żeby dla dzieci, a chociażby wnuków nie pozostał dokument. Bo wymienieni nie wybaczyliby nam tego w ogóle. A co do samej taśmy, to pokazuje tylko i wyłącznie, co się dzieje i nigdy nie kłamie. Ludzie wybuchnęli śmiechem, na co się zaciął, ale odchrząknął i po namyśle przyobiecał, że ze względu na powagę chwili kłamać nie będą, a jakby co, pozostawią na terenie materiały do wglądu. I ukłonił się, że skończył. Wąsaty od nowa do ludzi: – To jak, wpuścimy czy przeciwnie? –

Jak taka sprawa, to pod bramą ludzie odkrzyknęli, żeby owszem, tak. I cały tabor przejechał, przy czym od razu na drzwiach każdego samochodu pod adresem Chełmska 21 Mały osobiście domalował „razy tak", tak że powstało nasze hasło „21 razy tak". Następnie resztką farby pociągnął przez budynek „Nigdy więcej wojny".

Udałem się, żeby zobaczyć, co jeszcze takiego mogą mówić w telewizji, ale dalej był dźwięk wyłączony na mocy zbiorowej decyzji o walce z nieprawdomówstwem, pomimo podniesionych głosów, domagających się otworzenia na wiadomości ze sportu. Natomiast pod salą BHP toczyła się zażarta dyskusja przedstawicieli redaktorów z polskiej prasy, którzy ze stanowczym obliczem oddawali sobie jakiś papier z rąk do rąk. Jak się wyjaśniło, chodziło o zdecydowany protest przeciwko brakowi połączeń i wypaczeniu informacji o naszym strajku i że o ile oni sami co innego piszą, o tyle niekoniecznie to samo czytają. O ile jedni się podpisywali, tłumacząc, że uczciwość tego wymaga, o tyle inni wyjaśniali, że odwagą jest dzisiaj właśnie nie podpisać, podjąć decyzję niepopularną, ale w zamian za to jakże rozumną i że potomkowie oraz wnukowie będą za nią wdzięczni każdemu, kto nie podpisze. I tłumaczyli dalej, że podpisać to iść na poklask, tani snobizm, łatwiznę, efekciarstwo, które prowadzi do katastrofy. Krótko mówiąc, racja stanu nie pozwala podpisać. I jeszcze dalej – tłumaczyli – że oni sami, co ogólnie wiadomo, są ostatni dziennikarze przyzwoici, ale jak podpiszą, to przyślą na ich miejsce nieprzyzwoitych. Jeden przystojny, z płonącym okiem, zawołał: – Nas przyzwoitych jest garstka i naszym patriotycznym obowiązkiem jest przede wszystkim starać się ocalić dla Polski to, co przyzwoite, a poza tym nasze położenie geopolityczne wymaga, a nawet żąda, żeby nie podpisać. – Twarz wykrzywiła mu się, na pewno namiętnością, i zawołał, że wystarczy położyć oko na mapie, spojrzeć, gdzie leżą Niemcy Federalne.

Niektórzy się jednak podpisywali, natomiast jeden w cytrynowym garniturze stał koło mnie, gryzł palce, dygotał oczami, aż zakręcił się w miejscu i jednym ruchem wydarł swoje podpisane nazwisko na oczach osłupiałej gromady. Następnie ze słowami, że nie mógł postąpić inaczej, bo

mu tak sumienie dyktuje, pobiegł do bramy, poprawiając w biegu ułożone w fale włosy nad spoconym czołem.

Ale teraz, na długo przed wyznaczoną godziną, ludzie kierowali się do telewizora albo pod głośniki, zajmując najlepsze miejsca na deskach, żeby słuchać księdza prymasa, który miał być transmitowany z Jasnej Góry. Kardynał w pięknych słowach wezwał do poszanowania człowieka, jego pracy, a nawet godności, wezwał ogólnie do odpowiedzialności, spokoju oraz przywrócenia rytmu normalnej pracy, toteż od następnego dnia zastrajkowało kilkadziesiąt nowych zakładów. Jeszcze później wjechali księża z pięknym listem Episkopatu, wstawiającym się mocno za naszą sprawą, i z wiadomością, że przemówienie kardynała było transmitowane, ale nie do końca. Czyli że nieuzgodnione, niepełne, przy zastosowaniu wnikliwego, a odczuwalnego skrótu. Aż tu, mało tego, w czasie wznowionych obrad z komisją, nasza strona przypomniała sobie, że odblok telefonów nie nastąpił. Komisja szczerze wyjaśniła, że zrobiła, co mogła, niestety nad Warszawą przeszła punktowa trąba powietrzna, powodując zniszczenie centrali łączącej do Gdańska. Brodaty po naszej stronie ucieszył się, że teraz nawet prosta trąba jest uświadomiona, żeby wybrać do zniszczenia akurat tę jedną jedyną centralę. W ogóle o ile nasza strona przypomniała, że najważniejsze są trzy pierwsze punkty, dotyczące nowych związków, uwolnienia politycznych i zniesienia cenzury, o tyle komisja uważała, że najważniejsze jest raczej osiemnaście pozostałych, a pierwsze trzy to jest jedno wielkie nieporozumienie. Owszem, związki można zreformować, natomiast więźniów politycznych nie ma w ogóle, bo gwarantuje to porozumienie w Helsinkach, a wolność prasy jest, bo gwarantuje ją konstytucja. Nasza strona strajkowa przedstawiła w odpowiedzi list, że ciągle aresztuje się nowych ludzi i że sama obawia się wyaresztowania po strajku, jak nie za politykę, to na przykład tak jak tamtych za złodziejstwo, na które to posądzenie strona rządowa straciła oddech i prawie że się obraziła.

I tak trwało godzina za godziną, jeden dzień za drugim, aż komisja zaleciła, żebyśmy dobrze przemyśleli sobie tekst homilii księdza Prymasa

i wyciągnęli sobie z niego wnioski. Wąsaty przypomniał, że jednakowoż tekst był cenzurowany, na co komisja się zdziwiła, wyjechała to sprawdzić do Warszawy, przyobiecała odblok i że wróci pod wieczór. Ludzie kombinowali, jak się też sprawa potoczy. Na co nadleciał roztrzęsiony dziennikarz, co się wydarł, i zażądał, żeby mu się z miejsca pozwolili na nowo podpisać, bo tak mu sumienie dyktuje.

O czasie wyznaczonym na przyjazd ustawiliśmy się w szpaler, kamerzyści zaświecili światła, część jak zawsze powchodziła na drzewa, czekamy w porządku godzinę jedną, drugą – owszem jest odblok do Warszawy, ale nie ma komisji ani nawet śladu po niej. Wszyscy kombinują, co by to mogło oznaczać – zaparli się czy jak? Za to w telewizji dziennik rozpoczęli z początku wiadomością, że w Gdańsku trwają rozmowy z komisją porozumiewawczą, która to nieszczerość nas wymęczonych i znędznialych mocno ubodla. Poniektórzy złowieszczo zaszumieli i namiętnie narzekali. Przyuważyłem Misiaka, jak rozrywając koszulę, łamiąc paznokcie o własną pierś, krzyczy pełnym głosem, że się nie damy i w jaki sposób to zrobimy. Widząc, jak się tak męczy, telewizja francuska – wszyscy w butach bez skrzypu, szalikach, spodniach oblepionych do nogi – nie wytrzymała, zaświeciła mu w oczy reflektorem, odciągnęła go na bok, między drzewa. Przy czym mało że świecą reflektorem, jeszcze białym styropianem puszczają na twarz nowy odblask. Potem tłumacz, może nawet i przysięgły, powtarza, chyba za kierownikiem, o żywych oczach i kręconych włosach, pytania. Ale już w naszym języku. Misiak z miejsca odpowiada, a oni filmują to bez wahania, informując na samym początku, że idzie rozmowa z jednym z najbardziej nieulękłych bohaterów strajku.

– A gdzie tam! – na to Misiak, patrząc im się prosto w aparat z zawadiackim wyrazem. – Ja nie jestem żaden bohater, ja jestem całkiem zwyczajnie prosty człowiek.

Tamci się ucieszyli i napoczynają dalej:

– Niech pan powie, czy jest ciężko?

– Owszem – przyznał się Misiak – ale zwyciężymy. Bo lud zawsze musi zwyciężyć, a to dlatego, że taka jest dialektyka dziejów.

– Ale czy jednak pana zdaniem to się rzeczywiście może udać?

– Nie tylko myślę, ale jestem przekonany, że to się na pewno uda, że wielka siła klasy robotniczej wymiecie z tej ziemi to wszystko, co przywiał obcy wiatr. Strajk jest w moim przekonaniu wygrany, ale walka jak na razie się nie skończyła. Ustąpili nam tyle, co brudu za paznokciem. „Są w ojczyźnie rachunki krzywd", kiedy byłem w szkole, uczono mnie takiego wiersza. – Dalej Misiak coś mówił o polskiej ziemi, polskim ludzie, że ten cud, co się raz przydarzył, nie ma żadnego powodu, żeby on drugi raz nie miał miejsca. Zresztą lepiej z Rosjanami się dogadać niż z tymi agenciakami. Poza tym mamy Papieża, naszych oficerów w armii Izraela i Amerykanie nas nie sprzedadzą.

Tłumacz zaszwargotał coś do Francuzów, oni do niego, i on znowu zapytuje Misiaka, czy to można będzie puścić w tym sensie, czy my panu nie zaszkodzimy, a także ogólniejszej sprawie całego strajku, na co Misiak z miejsca odpalił, że nie tylko się nie boi, ale przeciwnie, żąda, żeby to wszystko poszło słowo w słowo.

– A to już jak pan chce. – Francuzi zaczęli zwijać się ze sprzętem, natomiast Mały, który podszedł pod koniec wywiadu, pukał się po głowie i ostro naskoczył na Misiaka, jakie bzdurstwa wygaduje. Misiak opędzał się, mrucząc coś w rodzaju, że mu się spod serca wyrwało i że chyba jaki diabeł w nim siedzi, a Mały, że siedzi, nie siedzi, to jest bydlęctwo wobec reszty i że niestety tak jak stoi, idzie z tym do Jurka. Akurat Wąsaty nadał wiadomość, że komisja owszem przyjedzie, ale jutro z rana. Od nowa porozłaziliśmy się, męcząc po terenie w oczekiwaniu na nową epokę.

Eksperci na ogół szczupli w barach i niedowidzący w okularach zamknęli się na obradach z prezydium, a ja spod bramy patrzę po zebranych rodzinach, nieletnich dzieciach, zapłakanych młodych żonach, poszkodowanych brakiem mężów. Patrzę się i przecieram oczy. Ni mniej, ni więcej, ten sam co przedtem, Przełożony Wysokiego Towarzysza robi do mnie minę, macha, idzie z uśmiechem do kraty. Wyglądało, że on pomimo piastowanej na pewno godności też nie śpi, tylko zamiast tego sumienie go gryzie czy co, bo całymi dniami tu wystaje, jakby nie było lepszego miejsca.

Zresztą w ogóle chciałem odejść, co on ma teraz do mnie, tyle że od nowa gwałtownie zakiwał, oko zmrużył i cmoknął, że sprawa ważna, a nawet wyjątkowa. I bez wahania się pyta, jak też Misiakowi poszedł wywiad dla Paryża. Zacząłem mówić, ale wzięło mnie zdziwienie, skąd on niby w ogóle wie o wywiadzie, co się przed minutą skończył. O co tu chodzi, a zwłaszcza co się za tym kryje. Ale Przełożony Wysokiego Towarzysza widać nieprzypadkowo daleko zaszedł, bo tylko uśmiecha się, głową kiwa, że Misiak prawidłowo rzecz prowadzi, że on może to powiedzieć jako jego przeciwnik polityczny. Jednym słowem mówi dalej:

– Jak go zobaczycie, powiedzcie, że ja o nim myślę i że przed takim przeciwnikiem chylę czoła.

Zamyślił się, na twarzy pojawiły mu się surowe fałdy i dodał, że oczywiście nam nie wolno będzie pozostawić tego wywiadu bez miażdżącej odpowiedzi, jaka nastąpi jeszcze dziś, i jak Misiak chce, niech sobie posłucha.

Powiedziałem, że Mały się na Misiaka strasznie ciskał, i znowu zatkało mnie zdziwienie, na co będą miażdżąco odpowiadać, jak to w ogóle jeszcze nie przeszło przez francuską cenzurę. Chciałem zapytać, co i jak, kiedy on rozejrzał się i zagaduje, gdzie jest tamten drugi, co się tu po stoczni kręci?

– Który drugi?

– No ten obcy nam kulturowo, no znaczy się niekoniecznie związany z narodem, no ten Żydek Czarniawy? – A widząc, że wybałuszyłem jeszcze mocniej oczy, machnął ręką, że nim się zajmie w późniejszym terminie. Po czym spojrzał mi się prosto w oczy z niespodziewanym zapytaniem, co oni się tak w Prezydium tłuką o tych pozamykanych. Przecież tak patrząc po ludzku i na trzeźwo, to co jest ważniejsze – całościowa sprawa waszego pięknego ruchu czy tych, ilu tam, nawiedzonych, co się i tak ich przecież nie wypuści, bo sprowadzą na ojczyznę jedna po drugiej wszystkie plagi, jakie Pan Bóg ma pod ręką, z przyjacielską wyręką na czele.

– Ale jednak – zauważyłem – żeby tak zaraz niewinnych trzymać, to jak to jest?

– Możecie nam wierzyć, że tak trzeba – zmarszczył czoło. – Nie ma lepszego wyjścia, nie trzymamy ich dla przyjemności, to jest mus. A jak mus, to mus. No przecież – ściszył głos – gdybyśmy mogli, tobyśmy ich wypuścili. Na co wam oni? A na razie – przyległ ciasno do kraty, wysunął usta na moją stronę, macha, żebym się przybliżył, i szepce, że przy okazji: – Jakbyście zobaczyli Misiaka, macie mu powiedzieć, żeby lekuchno przesunął akcenty, on już będzie wiedział, o co się rozchodzi. A powtórzcie to dla naszego wspólnego dobra.

– Powtórzę – odpowiedziałem jak maszyna, ale odszedłem skołowany, co on w ogóle ma do mnie, Czarniawego, a zwłaszcza do Misiaka i żeby czasem nas za bramą do tych pozamykanych nie dorzucono. Usiadłem za szafką, na moim miejscu w szatni i przez dobrą godzinę sen mnie się nie trzymał, tylko rozbierałem tę rozmowę, aż na koniec przyśnił mi się mój zmarły młody narybek, synaczek ukochany, jak się bawi wesoło lalką z gałgana i szczebioce, z głosu przypominając wiosennego szpaczka. Krótko mówiąc, zdjęła mnie żałość głęboka, zamartwiałem się przez cały sen i obudziłem zdenerwowany.

Od samego rana zamiast komisji przyjechał mleczarz spod Wejherowa rozstrzęsiony jak galareta, ponieważ gołym okiem widział poruszenie wojsk opancerzonych po całej szosie i to prosto w naszą stronę. A w niedługim czasie meldują spod bramy, że zaczął się ruch dawno niewidzianych radiowozów po mieście. My – owszem patrzymy się jeden na drugiego, ale ustawiamy spokojny szpaler jak gdyby nigdy nic i czekamy na komisję. Tyle że nie wiadomo po co, bo jej nie ma. Gdzieś tak po godzinie albo dwóch brodaty występuje do nas z komunikatem, że komisja drugi raz odwołała rozmowy, argumentując, że nie jest przygotowana, czyli żeby się spodziewać zaostrzenia, a może wręcz szukają sposobu na zerwanie rozmów.

– A co do naszego stanowiska? – zapytaliśmy bladzi z upokorzenia.

– A co do naszego stanowiska – on na to – uważamy, że nasi dyskutanci robią nas w konia, tym bardziej, że próbują bez żadnej szansy zerwać z jawnością rozmów i dostępnością ich na szeroką skalę. Na co nie

pójdziemy i jeszcze długo nie. Bo co się tutaj mówi, jest słyszalne poprzez obecność zagranicznych dziennikarzy prawie że na całym świecie poza akurat Polską. – I nadmienia dalej, że przy takim biegu rzeczy my się też nie będziemy wywiązywać i apelować dla wspólnego dobra o nierobienie nowych strajków solidarnościowych po kraju, chociaż żeśmy chcieli.

Akurat z Warszawy przyleciał olbrzymi mężczyzna z wiszącymi rękami prosto z serca informacji z okrzykiem, że wszystko stracone, przesoliliśmy, wygrała grupa twarda, będzie konfrontacja i wprowadzony stan. W całej stoczni zaszumiało, ale ludzie mówią, jak tak, to trudno, czyli zobaczymy. Dziennikarz, co się wyrwał i dopisał, od nowa zaczął gryźć palce, troszkę gości boczkiem strzyże do bramy, ale zachodnia telewizja świeci dalej. W ogóle krzyk, zamieszanie, w środku największego kotła przybyły z serca informacji tłumaczy, że wejdą z gazem bezwzględnie paraliżującym i przywrócą ład i porządek, że nie daj Boże w bratnich pismach zaniepokojenie, dużo o określonych siłach i złości na jakieś zagraniczne wywiady dla francuskiej telewizji na przekór przyjaźni.

Jurek mu na to z uśmiechem, żeby przestał straszyć, bo po pierwsze, absolutnie nie wierzy, aby ościenni przyjaciele, z którymi łączą nas trwałe układy, nie woleli mieć w bloku jakiegoś solidnego albo odnowionego sojusznika, jakim stanie się nasz kraj po zmianach, i że to są zagrywki twardych sił z Warszawy. One zawsze najwięcej gadały o braterstwie, a teraz straszą, mącą i zwodzą.

Jacyś dwaj przedstawiciele agencji chyba nawet mocno egzotycznej, bo żółci na twarzy i w jednakowych mundurkach, kręcili przecząco głową, uśmiechając się do tego łagodnie, żeby się w ogóle nic nie niepokoić.

Słoniu dodał po namyśle, że jak już, to jemu jest wszystko jedno, czy pod bramą stoi czołg na obcej rejestracji, czy krajowa suka. Na to ekspert najwyższy i najbardziej chudy ze wszystkich aż się zaczął zacinać ze zdenerwowania, że Słoniu nie ma wyobraźni, podczas gdy drugi narzekał na boku, że jego doradcy dzwonią z Warszawy z tym, że jest źle, że trzeba ustępować, ile się da, które to słowa słyszy prezydium i automatycznie – o ile im przedtem ufało o tyle o ile, to teraz przestaje w ogóle. Złapałem

Jurka za rękę z zapytaniem, co jest co. Odpowiedział, że jest dobrze, bo musi być dobrze, tylko żeby spokojnie. Przegrać nie możemy, bo mamy rację. Ale oblicze miał smutne.

Gorzej, że Wąsaty struł się kawą – i nie on jeden. Podobnież coś do niej dolali, znaczy do ogólnego kotła. Podbiegłem do budynku, zaglądam przez drzwi – leży Wąsaty rozciągnięty na dwóch fotelach, ma dreszcze, wzrok zamglony, narzucony na ciało koc i 40 stopni. Ale jak usłyszał, że chcą wybrać mu na wszelki wypadek następcę, ani rusz się nie zgadza. Obok przysiadł lekarz, ten z brodą, Chudziaczka i większość prezydium. Wszyscy się patrzą na jeden punkt, mianowicie w telefon, z którego miała od rana dzwonić strona rządowa i nie zadzwoniła w ogóle. Chudziaczka raz po raz przygryza wargę i niestety słyszę ni mniej, ni więcej, tylko jak jeden z samego kierownictwa pyta się drugiego na boku, czy a nuż żeśmy za wiele nie chcieli?

Nie mogąc wytrzymać tylu ciekawych rzeczy naraz, wyleciałem przed budynek, gdzie przybyły wprost z serca, trzęsąc głową i wymachując rękami jak wiatrak, powtarza raz za razem jak maszyna pogadankę uświadamiającą:

– Za dużo żeście chcieli, za dużo żeście politykowali, żeście przepolitykowali. A kraj was nie poparł. Nie pomogło, żeście wracające na Śląsk puste wagony podpisywali „łamistrajki".

Na co Słoniu zauważył, że jak na razie on się założy, że dzisiejsze wojsko nas Polaków nie ruszy. Zobaczył moją minę i mrugnął, że nic, nic, każdy się kogoś boi. Patrzę, obok mnie stoi Misiak. Twarz ma pomimo sytuacji z kamienia. Misiak się nikogo nie boi. A jak by się bał, to kogo? Ja się na pewno boję co najmniej siły ładu i porządku. Za to ona boi się swego ministra. Minister na pewno premiera, a ten Edwarda Gierka. Tu zapytałem Słonia, kogo boi się Edward Gierek. Słoniu powiedział, że chyba na pewno jednego ambasadora, ale ten się boi Głównego Zleceniodawcy.

– A taki Główny na przykład, kogo się boi i czy się boi Prezydenta Wrogiego Mocarstwa?

Pokręcił głową, że Prezydent Wrogiego Mocarstwa chyba go raczej śmieszy.

– Czyli że nikogo?

Słoniu podrapał się, że może mógłby się bać Boga albo jeszcze prędzej diabła. Ten to już na pewno nad każdym stoi. Wyraziłem wątpliwość, czy diabeł istnieje w ogóle. Na co odpowiedział, że jednak w takiej sytuacji powinien.

Podszedłem blisko do Misiaka z informacją o rozmowie sprzed bramy. Skrobiąc się smutnie po głowie, popatrzył na mnie, jakby mi się rozum pomieszał, i nawet zapytał, czym nie chory, a także żebym się poddał okresowym badaniom. Wytrzeszczyłem oczy, a dziennikarz z miejscowej gazety, zanim go jeszcze wyprowadzili za bramę, przemawia z duszy serca:

– Oj ludzie, pomyślcie tylko, zanim przyjdzie karząca ręka, a z nią nieszczęścia, ZOMO, pożoga, Bóg wie co albo gaz bezwarunkowo paraliżujący.

Na to przychodzi wiadomość całkiem świeża, że radio podało ni mniej, ni więcej, tylko że najprawdopodobniej w stoczni pleni się czarny terror, ponieważ znikają bez śladu cieszący się powszechnym autorytetem autentyczni działacze robotnicy, realiści, zwolennicy stuprocentowego kompromisu.

– To już koniec – rozłożył ręce miejscowy dziennikarz. – Tego to już wam nie podarują.

Patrzę się na Misiaka, że krzyknie najgłośniej z płomiennym uniesieniem, które ma dane od natury, ale nie. Tylko wykrzywił twarz, pobladł, wyszeptał wargami: – Sprzedali. To już końcówa – spluwał raz za razem i przepychał się łokciami do tyłu. Za to ludzie burzą się, szumią, wygrażają, że gdzie kto zniknął? Że nowe nieprawdomówstwo posieli, żeby jątrzyć, że rząd co do rządzenia – to nie za bardzo, natomiast co do skłócenia, to lepiej nie można. Ale zamiast jakiejś dobrej, na którą czas najwyższy, przychodzi wiadomość ze strajkującego Elbląga, że na teren dyrekcji PKS weszli przedstawiciele władzy z krzykiem, że się tu sieje

dywersję ideologiczną; na ostro postawione w twarz pytanie: – To co, będziecie do nas strzelać? – odpowiedzieli: – Jak będzie trzeba, to będziemy!

Usiadłem na ławce, żeby pomyśleć o przyszłości i czy nadchodzi przeznaczenie. Koło mnie przysiadają dwaj nasi z prasy polskiej i z magnetofonem w ręku zapytują, mówiąc szczerze i prywatnie, czy jestem za socjalizmem, czy naprzeciwko. Ja na to, że mi trudno jest odpowiedzieć, ale zależy mi na pewno, żeby mnie nie wyrzucili z pracy, nie zamknęli, nie pobili ani nic gorszego, na pewno też bym chciał mieć co jeść z całą rodziną, a w dalszej kolejności zamieszkać, może nawet i z bieżącą wodą, albo mieć na lekarstwo dla ojca czy też z jedno dziecko w przedszkolu.

Popatrzyli na siebie, że to chyba pod socjalizm dałoby się podciągnąć i od razu dopytują się o stosunek do demokracji, którego to słowa niestety nie znałem praktycznie w ogóle. Na to pierwszy o przyzwoitej twarzy i takim sympatycznym uśmiechu, że nauczony przez życie z miejsca zrobiłem się podejrzliwy, wziął się do wyjaśnienia, ale przyszła wiadomość z miejscowości Pasłęk, że radiowozy wjechały na teren strajku niby z rozpędu w pogoni za złodziejem, a zza naszej bramy od nowa meldują, że wzmaga się ruch suk względnie radiowozów, a w nich przygotowane odpowiedzialne służby w panterkach i pełnej gali. Na to przyszedł najstarszy od naszej brygady z wypadniętym dyskiem i w szynie, który otrzymał formalnie uwolnienie od strajku, ale powrócił w sytuacji, że jego syn, który był zastrzelony w 1970, miałby mu za złe, jakby teraz się przeciągał w łóżku. Obaj z prasy naskoczyli z magnetofonem, a on mówi takim głosem spokojnym, że się włos na mnie zjeżył, jak syn otrzymał pięć kul w plecy, jak cztery kule były śmiertelne, a jak jedna przebiła rękę, jak zwłoki MO wywiozła na sekcję, a prokuratura nie chciała wydać, jak nocą podjechali pod dom z Wojewódzkiej Rady, że za godzinę pogrzeb syna na Srebrzysku, że o ile on chce jechać i wziąć udział, to już, jak syna chowali po ciemku przy czterech latarniach gazowych, nagiego, jak dwa miesiące później pozwolono go ekshumować, a po czterech rozprawach wypłacono

14 tysięcy bezzwrotnego odszkodowania. W tym miejscu pękła taśma w magnetofonie blondynka, któremu przez ten czas uśmiech zagasł. Mały zauważył przez łzy, że pękła ze strachu i że taśma też jest obcenzurowana. A ojciec obtarł zapadłe, pożółkłe policzki, że o ile o niego się rozchodzi, to proszę bardzo, jest gotów, niech przyjdzie tutaj ta władza, która strzela do dzieci. Natomiast Słoniu spostrzegł, jak dobrze, że nie pozwolono przedtem wybudować pomnika pomordowanych w grudniu, bo na fundusz wpłynęło 5 milionów, i na wypadek, jakby coś, wybuduje się jeden łącznie. Przy czym z tego to już się mało kto poza nim roześmiał. Pomyślałem, że, tak czy inaczej, krew u nas za bardzo potaniała, żyć się na takim świecie nie za bardzo chce. A żeby już się życia na siłę czepiać, to po prostu wstyd. Do tego swoje przeżyłem, a i sumienie mi mówi, że wcale niepięknie. Tak czy inaczej, należy mi się kara, chociaż formalnie Misiak mi odpuścił. Rodziną, a nuż, zajmą się sąsiedzi, półtoraroczniak od dawna w niebie i może Bóg dopuści się jakoś skontaktować. I tylko na wszelki wypadek zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście mój los zaraz się dokona, a służby specjalne staną się moim przeznaczeniem. Na co ten szeroki, który buty odstąpił, jak chowali boso zabitego kolegę, i wracał się w skarpetkach po śniegu, teraz zacierał ręce, że jest lato.

Przyszedł Jurek, zapowiadając, że komisja ma teraz przyjechać o piątej i od nowa, że wszystko będzie dobrze, bo musi być. Mężczyzna, który przyjechał z samego serca, wybuchnął gorzko, że o czym tu w ogóle mówić, to już jest koniec i zapiał jak kogut, że nikt nie przyjedzie, ale Słoniu od razu go uprzejmie poprosił, żeby nie straszył, bo tak nie daje rady żyć, partia w telewizji krzyczy, w kościele ksiądz krzyczy, w domu kobieta krzyczy, człowiek chodzi wypłoszony jak zając, a przecież jak kto chce, zawsze może zmykać, nie ma żadnego zakazu. Dwa kroki i po strachu.

– Ale gdzie tam zmykać – odpowiedział Mały – w Polsce zawsze cię znajdą, za mały obszar.

– Pionków nie szukają – pocieszył go Słoń – tylko tych na tle jakichś tam. Takich to znajdą wszędzie.

Niektórzy popatrywali też coraz częściej po niebie, czy nic nie nadlatuje, jako że Mały przypominał helikopter, co to w 1970 specjalnie się obniżył, żeby utrafić w uciekającego na rowerze pod wiaduktem dziesięciolatka.

Polazłem pod budynek BHP, gdzie dalej krążyła podawana z ust do ust wiadomość o znikaniu ludzi, tyle że absolutnie nie można się było doliczyć nikogo, co by zginął, do czasu kiedy uderzyła wiadomość, że ni mniej, ni więcej, Misiak osobiście zniknął i to bez śladu. W jedną chwilę zrobiła się cisza, potem zgiełk niemożliwy, potem paru pobiegło go szukać. Małemu oczy się zrobiły kwadratowe i zagwizdał, że niby Misiak to autentyczny działacz, robotniczy, zwolennik kompromisu… Jurek nawet otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową i patrzył się tępo, płonącymi od bezsenności oczami. Dziennikarz z miejscowej prasy, który dożywał tutaj swoich ostatnich chwil, bo go po następnym zdaniu pośród okrzyków „psy partii" mieli wyprowadzić, zagrabił z czoła długie włosy i cmoknął, że to jakaś grubsza afera, komunikat najwidoczniej nie kłamie, a zwolennicy realizmu nie mają tu życia.

Przepchnąłem się przez ludzi z wyraźnym podejrzeniem, że coś tu nie gra. Podszedłem pod kanał, obok obcych statków, wysokich jak blok mojej kobietki, nad którymi kołowały się mewy. Zakręciłem się po jednej i drugiej hali, myśli tłukły mi się po głowie, ale zaraz rozłaziły, nie dając się zebrać w żadną całość. Raz i drugi zajęczał puszczyk, aż dopiero w hali trzeciej widzę z odległości: w półmroku kołuje ogienek. Podszedłem ożywiony myślą, że a nuż kto wie, czy to w ogóle nie Misiak siedzi na skrzyni, pali i rozmyśla. Ale jednak nie. Ni mniej, ni więcej profilem do mnie siedzi od dawna niewidziany Czarniawy, zaciąga się ze sporta, kółka puszcza. Wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem, tylko twarz miał granatową od zarostu, czoło mocniej poryte zmarszczkami, policzki mu zapadły, a oczy za okularami patrzyły opuchnięte. Zerknął raz i drugi, ale poza tym w ogóle nie zwracał uwagi na mój widok. Ucieszony, że go odnalazłem i że nie wyszedł ze stoczni, opowiedziałem mu wszystko jeszcze raz o dzienniku.

Dodałem swoją rozmowę z Jurkiem, jedną i drugą, że nikt żalu do niego nie chowa i wszystko jasne jak najbardziej, ale puścił tylko nowe kółko przez usta, nie pokazując po sobie żadnego wrażenia. Aż dopiero wymamrotał, że i o tym też jest poinformowany. Tu już nic nie rozumiejąc, zapytuję: – Dlaczego siedzisz, człowieku, samotnie w takim czasie, kiedy cała sprawa wisi na włosku, komisja drugi dzień nie przyjeżdża i w każdej chwili może się przydarzyć coś ostatecznego?

Popatrzył się tylko na mnie w przelocie, ale dalej milczał jak zabity. Aż dopiero widząc, że też stoję bez ruchu, patrzę na niego i nie odejdę bez słowa, zaapelował do mnie w uprzejmych słowach: – Drogi bliźni, zostaw mnie w spokoju. Jak wyjdę, nic z tego dobrego nie wyniknie, jak zostanę – machnął ręką – może nic złego – i przyznał mi się, że nie chce mu się ani kłuć w oczy swoim widokiem, ani ochoty nie czuje rozmawiać z nikim, nawet ze mną, którego zresztą akurat uważa za człowieka. Jak tak, to przekazałem mu jeszcze wiadomość o niesamowitym zdarzeniu z Misiakiem i odchodzę, kiedy on może przez przekorę akurat ożywił się i zaczął przepytywać o okoliczności. Kiedy opowiedziałem mu wszystko i dodałem rozmowę spod bramy pierwszą, a następnie drugą, wesoło zatarł ręce, a jak się dowiedział, że w czasie komunikatu o zaginięciu żywy Misiak stał koło mnie, całe jego ciało zatrzęsło się od śmiechu, jakiego dawno nie oglądałem. Pośród okrzyków „nasz radykał kochany" kręcił głową i ocierał oczy, w ogóle nie podzielając mojego niepokoju o zaginioną osobę. Trwało to dłuższą chwilę, aż obróciłem się w miejscu, a on trząsł się ze mną na skrzyni jeszcze długą chwilę, aż mi się zrobiło nieprzyjemnie. Dopiero przy wyjściu dogonił mnie jego głos z ciemności, żebym z tym poszedł do Jurka, a o Misiaka się nie bał. Wróciłem się pod budynek, pod rozlaną po niebie niesamowitą pożogę zmierzchu, co mogło oznaczać tylko jak najgorszą wróżbę.

Ale zamiast służb coraz to jakaś delegacja z Polski wchodzi, nowy zakład się przyłącza. Z jednej strony, Bydgoszcz cała stanęła, z drugiej, wyaresztowują osoby nas wspomagające, a w radio tylko słychać: „szanson damur" i KOR – na okrągło. Biorąc dalej, o ile telefon od strony rządowej

nie dzwoni, o tyle nic nam się złego nie dzieje. Rodziny wymęczone kotłują się pod bramą. W pierwszych słowach dziennika normalnie powiadamiają naród, że w stoczni trwają rozmowy, co mniej już przemęczonych i znędzniałych ludzi jednak bawi niż dawniej, bo mało, że skręcają telewizor, powstaje inicjatywa, aby go na dwór wynieść.

Ale wszystko do czasu. Bo jeden za drugim wybuchają radosne okrzyki i w krótkim okresie dowiadujemy się, ni mniej, ni więcej, tylko że to górnicy przysyłają strajkującym robotnikom Wybrzeża swoje górnicze „Szczęść Boże" i zakładają strajk solidarnościowy. Jednym słowem Śląsk się dołączył i stanął razem z nami. Tu to już ludzie zaczęli się cieszyć marną resztką sił, klepać się po plecach, a ci, co mieli najwięcej siły, rozpoczęli się ściskać czy wiwatować albo nawet bić brawo bez końca, a przez radiowęzeł delegat wymienia jedną po drugiej kopalnie, co do których jest pewność, że stoją. Jednym słowem teraz to już wiemy na pewno, że nas nie złamią i serca wezbrały nam ogniem wiary, bo z górnikami i z nami to już rady sobie nie dadzą. Jakby tego było mało, Wąsaty blady i przygięty do ziemi podaje przez megafon z prezydium, podniesiony jednak widocznie taką informacją do zdrowia, bo właśnie mamy wiadomość, że huta „Katowice" też się zaczyna ostudzać solidarnie, jednym słowem jesteśmy razem.

Zanim ludzie otarli łzy, przyleciała Chudziaczka na dużą salę i łamiącym głosem zawiadamia:

– Zadzwoniła strona rządowa i jest pewna wiadomość, że jutro przyjeżdżają i chcą podpisać.

Na to już jedno westchnienie wydarło się z tysięcy piersi. Wszyscyśmy się podnieśli, bijąc brawo do bólu i zapamiętania, że nie daliśmy się zastraszyć, a następnie zjednoczyliśmy się w Hymnie.

Potem zakotłowało się na dobre, a już w korytarzu, gdzie urzędowało tymczasowe biuro, panował tłok nie do wytrzymania. Jeden mężczyzna uczepił się mnie za rękę, że jest z Lubina, z zagłębia miedzi, gdzie ich stanęło 40 tysięcy i gdzie ma z tym iść. Pokazałem mu tylko długą kolejkę do rejestracji strajkujących zakładów, które już szły w grube setki.

Ludzie kotłują się tam i z powrotem. Obok z brzękiem liczą pieniądze. Delegat z Bydgoszczy informuje, że jak tylko wrócił łącznik z wiadomością, że strajk na Wybrzeżu wbrew upowszechnianym informacjom trwa, stanęli. Z Bydgoszczy wyjechało ich delegatów sześciu. Pięciu zgarnęli po drodze, on jeden się przedostał. Dalej jakiś wykłada, że jeżeli poszło dobrze, to na pewno dlatego, że hutnicy zapowiedzieli na wypadek siłowego rozwiązania pełne spuszczenie surówki. W tłoku widzę, że Czarniawemu widocznie się znudziło siedzieć, bo coś przemawia do Jurka z rozbawionym obliczem, a ten wykręca taką twarzą, której nic już bardziej nie mogło zaskoczyć. Akurat wzrok mu padł na mnie, chciałem podlecieć, ale już całe prezydium zamykało się z ekspertami, a zaopatrzenie donosiło kawę z kaszanką. Czarniawy uspokoił mnie, że wszystko gra i już więcej nikt nowy raczej na pewno nie zginie, bo nie ma społecznego zapotrzebowania. I dalej żeśmy się normalnie zaczęli zbierać, żeby gdzie znaleźć kącik i doczekać wschodu słońca, przy tym z powodu ścisku coraz było trudniej głowę przytulić.

Od rana przy szpalerze otoczonym blaskiem słońca i wszystkim utrzymanym w porządku, jak się należy, podpisano wstępnie oba pierwsze punkty z taką szybkością, że aż niektórzy zaczęli coś podejrzewać. Mleczarz spod Wejherowa przyjechał ucieszony, że żołnierzy ani śladu, a na mieście też spokój i cisza, słoneczko przyświeca jak w jakiejś egzotycznej krainie z widokówki nad Morzem Czarnym. Wszystko idzie jak w marzeniu, tylko nasza strona protestuje, że jakże to tak, my się punkt po punkcie pomimo kłamstw, które o nas mówią i piszą, dogadujemy, a w Warszawie zamykają albo nawet dają sankcje ludziom, którzy nasz strajk wspomagali, a przecież mieli być bezpieczni? Czyli że gdzie tu jest tak potrzebne i odzyskiwane w takiej męce zaufanie? Ażeby sprawa była jasna, ci zamknięci w 1976 ratowali, wyciągali, narażali się dla robotników, rzucili nam zielone światło na prawdę i nie ma takiej siły, żebyśmy ich teraz pozostawili w areszcie. Strona rządowa zmartwiła się i zdziwiła, że to nie oni, tylko prokuratura, a skoro się już tu wszyscy uczymy praworządności, to wiadomo, że prokuratura komisji nie podlega. Ludzie, jako że pomęczeni i pomordowani, już się nawet nie wszyscy śmieli, co

najwyżej kręcili głową, ale naciśnięta do ściany komisja przyobiecała się sprawą zająć, po czym rozjechała się na przerwę. Ludzie rozchodzili się, rozkładając ręce, że o co się w ogóle rozchodzi: mają punkty, wiadomo, że nie ustąpimy, albo niech podpisują, albo niech jadą po Breżniewa.

Przysiadłem na deskach, wymęczony. Aż tu patrzę, Chudziaczka szara na twarzy wbija w coś spojrzenie i odwraca. Wbija i na nowo odwraca. Jednym słowem przypatruje się tak parze, która przysiadła sobie na desce niedaleko za mną, a którą stanowi brygadzista Jurek pogrążony w rozmowie z przystojną kobietą, ubraną w skórę, która nadawała rozmowy spod bramy do telewizji. W jednej chwili zrozumiałem, że nic innego, tylko żona mu się szczęśliwie odnalazła. Z mojego miejsca słyszę niedokładnie, jak ona przepytuje o synka i coś tłumaczy, że z tymi nagraniami nie było tak, tylko inaczej, a Jurek jej na to, że przecież zawsze kłamała, więc o co idzie ta rozmowa. Tyle że dawniej to połowa, a teraz już wszyscy wiedzą dokładnie, co o telewizji myśleć.

– Co, nienawidzą nas? – ona na to.

– Nie, co najwyżej śmieją się z was!

Żona na to, że jeżeli idzie osobiście o nią, to po pierwsze, nie kłamała, ale nie myliła, po drugie, w niej są dwie kobiety, dobra i zła. I napierając na Jurka dorodnym ciałem, prosi, żeby jej bronił.

– Niby przed kim? – on na to.

A ona, że przed nią samą.

Ja byłem silnie zaskoczony, ale po Jurku przeszło to bez wrażenia, tylko odgiął ją na bok i się spytał, po co konkretnie przyszła, to po pierwsze, a po drugie, jak ją wpuszczono. Przymrużyła na to oczy, zmieniła się na pobladłej twarzy i zasyczała przez zęby, tak że pomyślałem – zła jej strona bierze górę – że póki on nie będzie miał jakiegoś dowodu, że ona się nie zmieniła na dobrą stronę, nie ma prawa jej nie wierzyć. Po drugie, on też nie jest żadnym chodzącym sumieniem, siedział tylko dwa miesiące, a inni po parę lat. I że owszem, pogonili go w marcu ze studiów, ale przez mimowolny przypadek, bo ofiarą miał być Gomułka, a nie żadni Żydzi ani jakiś byle on. A jeżeli mu się rozchodzi, że wdała się we wstydliwą sprawę

z innym mężczyzną, to tylko i wyłącznie dla niego, żeby się jakoś zachował, odstawił flaszkę i ją zatrzymał. Ale on zamiast się cały czas bezlitośnie przeciwstawiać władzy, posłusznie pił alkohol i to pchnęło jej złą stronę do góry, a dobrą do dołu. Co obecnie jest mu gotowa wybaczyć.

Na to Jurek podniósł się z twarzą, jakiej w ogóle u nikogo nie widziałem, że aż ją cofnęło do tyłu. Tyle że akurat pokazał się synek. Leciał z wrzaskiem „mama", machając rękami koło głowy. Jurek zagryzł usta i wyciągnął po niego rękę, ale dzieciak go obiegł od tyłu, a jak usłyszał, że go matka zabiera do domu, wskoczył na nią, wtulił się, że bardziej nie można. Żona od razu zamieniła się w inną kobietę: błyskając z zadowoleniem oczami, wypinając młode ciało, zapowiedziała, że czeka w domu. Co matka, to jednak matka, bo synek, który był Jurkowi bliski jak nikt, spał na kolanach i jadł z ręki, uczepił się matki i poszli, przy czym ona tanecznym krokiem, na pewno pucować dom do jego powrotu. Czyli że może nie dla Chudziaczki, ale dla Jurka się wszystko dobrze zakończyło. Do tego stopnia, że miał łzy w oczach na pewno ze szczęścia.

Pod sam wieczór, kiedy komisja umawiała się solennie, z ręką na sercu na ostateczne podpisanie, wywołano mnie do bramy. Podchodzę i nie wierzę własnym oczom, bo to ani rodzina, ani Przełożony Wysokiego Towarzysza, tylko od samej kraty błyszczą się namiętnością oczy mojej kobietki. Podszedłem na sztywnych nogach, a ona przesadziła z miejsca ręce i jak tylko znalazłem się w zasięgu, przyłapała mnie mocą za głowę. Chociaż stała na cegle i w niedogodnej pozycji, nawet nie zdążyłem pisnąć, kiedy pocałowała mnie prosto w usta, przygważdżając rozognionym językiem.

Jak mnie wypuściła, widząc moje serdeczne zdziwienie albo niedowierzanie, przyznała się ze śmiechem, że dłużej czekać nie może. Owszem, w parę naście dni przedtem, kiedy ona wyszła, poprztykaliśmy się, przegadali, zwyczajnie jak to zakochani. Ale teraz już rozumie bez dwóch zdań, że beze mnie nie ma dla niej życia. I namiętnie gładzi mnie po opasce, że owszem, słyszała, że mam funkcję, a na wypadek jakby co, żebym dobrze pamiętał, jak ona od początku była duszą i ciałem ze

strajkiem. Nie wierząc uszom, zapytałem o jej rodzinę, która mnie nie chce, machnęła ręką, że tamto to nieporozumienie, już teraz wszyscy są za mną, a rodzina urobiona całym sercem. Od nowa złapała mnie za głowę, a po wszystkim dodała, że jak jej mówią, jutro ma być zakończenie, więc ona całkiem zwyczajnie siedzi sobie w domu i czeka na uroczyste odwiedziny razem z całą rodziną, co też wypatruje za mną oczy.

– A teraz, kochanie moje jedyne, nie dajcie się. – I zanim co, odeszła, kołysząc się całym twardym ciałem na dobrze zakrzywionych nogach.

No to znaczy – Bóg łaskaw, dola nasza kurza, że tylko łeb sobie obciąć, zakończona. Kobiety do nas wymęczonych za nasze krzywdy lgną. Dopiero co żona szczęśliwie powróciła do Jurka, do mnie moja kobietka, o czym nawet nie marzyłem.

Akurat Słoniu razem z innymi niosą Wąsatego na rękach do bramy, za którą krzyk radości i oklaski, a on przez tubę przeprasza, że będzie mówił jak jaki dyktator, ale ciąży na nim krew z grudnia 70 roku, kiedy to był w kierownictwie strajku, a sprawy wzięły zły obrót. I następnie apeluje do wszystkich, żeby każdego roku, poczynając od obecnego, wszyscy spotykali się tutaj 16 grudnia pod bramą stoczni, gdzie zaczniemy od tego, że się policzymy. Jeżeli kogoś nie będzie, wiemy, gdzie pójdziemy szukać. On sam przyjdzie nawet na czworakach. A jeżeli go nie będzie, też wiadomo, gdzie się o niego upominać. I już na zakończenie przeprosił, że mówi jak dyktator, ale w ogóle jest naszym służącym i możemy do niego mówić służący.

Ludzie pod bramą wybuchnęli krzykiem i oklaskami, a mnie jeszcze odciągnął Mały, biorąc pod uwagę moje uzdolnienia, żebym zamalował radę zakładową na tablicy i pociągnął nowy napis o treści: „Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych", czyli jak widać z tego, w prezydium nie mogli mieć najmniejszej obawy, że coś może wyjść nie tak, że nas z miejsca oszukają czy zapałują albo chociaż zamkną.

I rzeczywiście w niedzielę z rana po uroczystej mszy w odświętnym huku megafonów, kiedy jeden punkt szedł za drugim i był oficjalnie

dogadywany, stało się całkiem jasne, że spada z serca ciężar, co dławił i przygniatał. Nawet deszczyk, który z rana przeleciał jak przez sito, wycofał się, słońce przepaliło żółtą mgłę i po kawałku odsłoniło nieboskłon. Aż na końcu po uroczystym przyobiecaniu, że osoby wspomagające od jutra ujrzą wolność, Wąsaty z przejęciem podziękował stronie rządowej i wszystkim siłom, które nie pozwoliły na siłowe rozwiązanie. Ucieszył się w naszym imieniu, że zwyciężyła rozwaga, którą reprezentował, jak przypuszcza i jak wszyscy wiemy, tu obecny pan premier i jakaś grupa dość rozsądna. Na co premier natychmiast po odśpiewaniu wraz z nami Hymnu, też poruszony historyczną chwilą, podniósł sprawę, że nie ma przegranych ani wygranych, pokonanych ani zwyciężonych, rozmawialiśmy jak Polak z Polakiem, bo wszystkim nam szło o najważniejsze: ojczyznę socjalistyczną, czyli Polskę Rzeczpospolitą Ludową. I patrzył się jakby szczerym okiem.

I było po wszystkim. Mały wziął się zupełnie oficjalnie do przybijania mojej tablicy, Jurek ucieszył się, że ziarno z 1970 wzejdzie, jak widać, bo nie padło na mściwe i nienawistne podłoże z kamienia. Z sali wysypały się tłumy delegatów, a także eksperci, na których twarzach malowało się niewysłowione szczęście, radość i duma. Co do ludzi, to na ogół krążyli to tu, to tam, kto miał jakieś rzeczy, to zbierał, ale zaraz odkładał, jakby się nie mógł w ogóle oderwać od bytowania w stoczni, nie miał pewności, co ze sobą zrobić, ani sił, żeby się cieszyć. Niektórzy uśmiechali się, klepali po plecach, ściskali za ręce, ale od razu potem opuszczali ramiona, kręcili głową, drapali zapadłe i nieogolone policzki, jakby jeszcze nie rozumieli, że koniec, i popadali w zadumę, że już po wszystkim, jutro rano normalnie do pracy. Tego na pewno nie rozumiały tłumy mieszkańców i rodzin, które falowały tysiącami pod stocznią i z najwyższą radością tupotały na betonie przed bramą.

Ja akurat miałem najwięcej powodów do szczęścia, bo poza tym, że odpadła mi jak każdemu w najbliższym czasie konieczność pójścia do więzienia, wyrzucenia z pracy albo czegoś gorszego, miałem szeroką nadzieję na szczęście osobiste, natomiast jeden ekspert, który dopiero co

wznosił okrzyki: „Zwycięstwo!”, teraz krzyczał na Słonia, wystającego z kwaśną miną, że mu jest wszystkiego mało i że na pewno on by chciał, żeby Wąsaty wjechał jutro do Warszawy na białym koniu. Na co Słoniu wykrzywił się, że wcale niekoniecznie mu na tym zależy, ale na przykład z tą cenzurą i innymi sprawami to nas lekuchno przehandlowano i można było bardziej przycisnąć, a poza tym wcisnęli nam kierownicę, znaczy kierowniczą rolę już w ogóle nie wiadomo na jaką okoliczność. Ekspert załamał ręce, że nie mamy wyobraźni politycznej w ogóle i chcemy za dużo. A Słoniu mówił na to, żeby sobie poszedł wypocząć ze swoją wyobraźnią. Chudziaczka wbijała w Jurka oczy wielkie i smutne aż do przesady, ale on albo był pogrążony do końca w namiętnych rozmowach o przyszłych związkach, albo ściskał dłonie i klepał się z innymi po plecach, albo omijał ją oczami. Na głównej sali ludzie dziękowali ekspertom, a eksperci dziękowali ludziom.

Okularnica, niedużo widząc przez zalane łzami okulary, ucieszyła się, że jestem, a nawet pocałowała mnie w policzek, tak, że aż opuściłem od zadawnionego wstydu głowę. Ale ona mnie tylko pogłaskała ze słowami: „Nic się, synku, nie przejmuj”.

I tak szło aż do otwarcia bramy, przez którą ludzie wylewali się jak fala witani okrzykami: „Dziękujemy!”. Akurat jeszcze przed wyjściem wpadłem na Czarniawego, którego Jurek widocznie na skutek wejścia w jakąś zaawansowaną zażyłość gorąco ciągnął do pracy w Komitecie Założycielskim, ale tamten w ogóle nie chciał słuchać i na wszystkie namawiania zasłaniał się rękami, że ma już dosyć, tak że więcej nie można, na dodatek jakby tu został, toby nic najlepszego z tego nie wynikło ani dla niego, ani dla ogólniejszej sprawy i nie należy kusić losu. Na całe szczęście ma w bezpiecznej odległości dalekiego kuzyna i jeszcze jutro z samego rana wyjeżdża do takiego miejsca, gdzie nie ma możliwości, żeby usłyszeć słowo „polityka”, tylko jest przeciwnie – spokój i goła przyroda – i wymienił podbeskidzie, a konkretnie miejscowość Ustrzyki Dolne.

Jurek rozłożył ręce, a ja wolno wylałem się na ulicę, przez bramę, koło której kręciła się już regularna straż przemysłowa. Dookoła huczała

szczęśliwie ulica, a ja szedłem zatopiony w myślach, aż koło mnie raz i drugi zatrąbił samochód fiat polski. Patrzę, a ze środka wychyla się, machając do mnie zaciśniętą chyba na znak solidarności pięścią, Przełożony Wysokiego Towarzysza. Dodał gazu, a ja wstrzymałem oddech, bo gdyby to nie było niemożliwe, koło niego zasiadał uśmiechnięty mężczyzna o rysach w podobie Misiaka.

Dalej to już trudno opisać, w każdym razie z naszego odpucowanego i przybranego zieloną trawą na kolor nadziei wozu wysypała się rodzina – trzylatek, pięciolatek, matka, do tego stopnia, że nawet wylazł dziadek i ojciec wychylił się z głową. Matka gotowała rzepę na obiad i żałowała, że nie ustawiła się po chleb, ale i tak ze wzruszenia nikt by na pewno nic nie zjadł. A ja wyciągnąłem się najpierw wygodnie na skrzyni w otoczeniu najbliższych, myśląc, że po pierwsze, w szerokim planie nie można całkiem na pewno wykluczyć, że Rząd dotrzyma tego, co podpisał, że w tym roku to już na pewno będzie czym w mrozy palić, dostanę nie cztery, nie pięć, ale najmniej siedem drewnianych skrzynek, a w ogóle do zimy jeszcze daleko, zresztą, kto wie, może mieć łagodny przebieg.

Następnie poszedłem na miejsce, gdzie była pochowana kicia, a potem już osobiście na grób półtoraroczniaka, gdzie najpierw pomodliłem się żarliwie, dodając:

– Widzisz, synku, teraz to już chyba jakoś pójdzie.

KONIEC

Spis treści

Dedykacja

MOC TRUCHLEJE

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Aleksander Walijewski

Korekta
Jadwiga Piller
Anna Sidorek

Copyright © by Zuza Głowacka, Olena Leonenko-Głowacka,
Ewa Zadrzyńska-Głowacka, 2019
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

Wydanie na podstawie:
Oficyna Wydawnicza Volumen, 2009

ISBN 978-83-8032-373-5

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź nas na

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR
Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na Android oraz iOS. Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.

Konwersja: eLitera s.c.